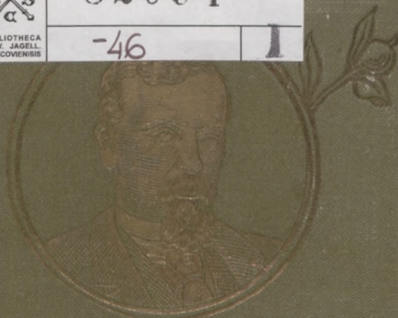




PISMA
H. SIENKIEWICZA

TOM

46




V
B
J
C



PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XLVI

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XLVI

OGNIEM I MIECZEM

CZĘŚĆ IX

z illustracyami A. Piotrowskiego

WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1902




Biblioteka Jagiellońska
1000799200

OGNIEM I MIECZEM

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

ROZDZIAŁ LX.

Wielu prostych rycerzy okryło się nieśmiertelną sławą w tym pamiętnym okopie zbaraskim, lecz lutnia będzie sławiła w pierwszym rzędzie pana Longina Podbipiętę, dla jego tak wielkich przewag, że chyba jego skromność mogła wejść z niemi w paragon. Noc to była posępna, ciemna i wilgotna; żołnierz, znużony czuwaniem u wałów, drzemał oparty na broni. Po nowych dziesięciu dniach strzelaniny i szturmów, pierwszy to raz nastała cisza i spokój. Z blizkich, bo zaledwie o trzydzieści kroków stojących szańców kozackich nie słychać było wywoływań, klątw i zwykłych hałasów. Zdawało się, że nieprzyjaciel, chcąc znużyć, sam się znużył nareszcie. Gdzieniegdzie tylko błyszczało tam mdłe światełko ognia, ukrywanego pod darniną; z jednego miejsca dochodził słodki, przyciszony głos liry, na której grał jakiś kozak; daleko w koszu tatarskim konie rżały, a na wałach rozlegały się od czasu do czasu głosy straży.

Chorągwie pancerne książęce były tej nocy na pieszej służbie w obozie, więc pan Skrzetuski, pan Podbipięta, mały rycerz i pan Zagłoba, na okopie, szepcąc z sobą z cicha, w przerwach rozmowy wsłuchiwali się w szum deszczu, padającego w fosę. Skrzetuski mówił:

— Dziwny mi jest ten spokój. Uszy tak przywykły do huku i hałasu, że cisza w nich dzwoni. Aby się tylko jaka zdrada *in hoc silentio* nie ukrywała.

— Od czasu, jak jestem na pół racyi, wszystko mi jedno! — mruczał posępnie Zagłoba. — Trzech rzeczy potrzebuje moja odwaga, a to: jeść dobrze, pić dobrze i wyspać się. Najlepszy rzemień nie smarowany zeschnie i popęka. Cóż dopiero, jeżeli w dodatku moknie, jak konopie w wodzie? Deszcz nas moczy, a kozacy międlą, jakże się z nas paździerze nie mają sypać? Miłe kondycye: bułka już florena kosztuje, a kwaterka gorzałki pięć. Tej śmierdzącej wody piesby w gębę nie chciał wziąć, bo już i studnie trupem nasiąknęły, a mnie się tak pić chce, jak i moim butom, które tak pyski pootwierały, jak ryby.

— Ale waścine buty i wodę piją, nie przebredzając — rzekł pan Wołodyjowski.

— Milczałbyś, panie Michale. Nie większyś od sikory, to się ziarnkiem prosa pożywisz, a z naparstka napijesz. Ale ja Panu Bogu dzię-

kuję, że nie jestem taki misterny i że mnie nie kura z piasku zadnią nogą wygrzebała, ale niewiasta urodziła: dlatego potrzebuję jeść i pić, jako człowiek, nie jak chrabąszcz, a żem od południa nic prócz śliny w gębie nie miał, dlatego mi i twoje żarty nie w smak.

Tu pan Zagłoba począł sapać gniewnie, a pan Michał wziął się za bok i tak mówił:

— Mam ja tu na udzie manierzynę, com ją dziś kozakowi wydarł, ale kiedy mnie kura z piasku wygrzebała, to już myślę, że i gorzałka tak nikczemnej persony nie będzie waści smaczna. W twoje ręce, Janie! — rzekł, zwracając się do Skrzetuskiego.

— Daj, bo zimno! — rzekł Skrzetuski.

— Pij do pana Longina.

— Przechera z ciebie, panie Michale, — rzekł Zagłoba — aleś chłop setny i to masz do siebie, że sobie odejmiesz, a drugiemu oddasz. Niechby się święciły te kury, coby takich żołnierzów, jak ty, z piasku wygrzebywały, ale ich na świecie podobno niemasz, i nie o tobie myślałem.

— To weź waćpan od pana Podbipięty; nie chcę cię krzywdzić — rzekł pan Michał.

— Co waćpan robisz?... zostawże i mnie! — wołał z przestrachem Zagłoba, spoglądając na pijącego Litwina. — Czego tak głowę zadzierasz? Bodaj ci tak już została! Za długie masz kiszki,

nie łatwo je nalejesz. Leje jak w spróchniałą sosnę! Żeby cię usiekli!

— Ledwiem co przechylił — rzekł pan Longinus, oddając manierkę.

Pan Zagłoba przechylił lepiej i wypił do reszty; potem parsknął i tak mówił:

— Cała to pociecha, że jeżeli się skończy nasza mizerya, a Bóg pozwoli zdrowo wynieść głowy z tych terminów, to sobie we wszystkiem wynagrodzimy. Jużci nam jakoweś chleby obmyślą. Ksiądz Żabkowski umie dobrze zjeść, ale go w kozi róg zapędzę.

— A co to za *verba veritatis* usłyszeliście dziś z księdzem Żabkowskim od Muchowieckiego? — pytał pan Michał.

— Cicho! — rzekł Skrzetuski: — ktoś tu się z majdanu zbliża.

Umilkli, wtem jakaś ciemna postać stanęła koło nich, i przyciszony głos spytał:

— A czuwacie?

— Czuwamy, mości książę — rzekł, prostując się, Skrzetuski.

— Pilno dawać baczność. Źle wróży ten spokój.

I książę przeszedł dalej, patrząc, czy gdzie sen nie przemógł utrudzonych żołnierzy. Pan Longinus ręce złożył.

— Co to za wódz! co to za wojownik!

— Mniej on od nas spoczywa — rzekł Skrze-

tuski. — Tak całe wały sam co noc obchodzi, aż het, do drugiego stawu.

— Dajże mu Boże zdrowie!

— Amen.

Nastało milczenie. Wszyscy wpatrywali się wytężonemi oczyma w ciemność, ale nic nie było widać — szańce kozackie były spokojne. Ostatnie światła na nich pogasły.

— Możnaby ich zejść, jak susłów, we śnie! — mruknął Wołodyjowski.

— Kto wie? — odrzekł Skrzetuski.

— Sen mnie tak morzy, — mówił Zagłoba — że aż mi oczy pod wierzch głowy uciekają, a spać nie wolno. Ciekawym: kiedy będzie wolno? Czy strzelają, czy nie strzelają, ty stój pod bronią i kiwaj się od fatygi, jak Żyd na szabasie. Psia służba! Sam nie wiem, co mnie tak rozbiera: czy gorzałka, czy ranna irytacya za ów impet, któryśmy niesłusznie obaj z księdzem Żabkowskim wytrzymać musieli?

— Jakże to było? — pytał pan Longinus. — Zacząłeś waćpan mówić i nie skończyłeś.

— To teraz opowiem: może się jakoś ze snu wybijemy! Poszliśmy rano z księdzem Żabkowskim na zamek w tej myśli, żeby to co do przegryzienia znaleźć. Chodzimy, chodzimy, zaglądamy wszędzie — niema nic, wracamy źli. Aż na podwórzu spotykamy ministra kalwińskiego, który kapitana Szenberka na śmierć gotował,

tego, co go wczoraj postrzelili pod chorągwią pana Firleja. Ja mu tedy mówię: «Będziesz się tu, szołdro, włóczył i dyzgusta Bogu czynił? — jeszcze niebłogosławieństwo na nas ściągniesz!» A on, widać dufając w protekcyą pana bełskiego, rzecze: «Taka dobra nasza wiara, jak i wasza, albo lepsza!» Jak to powiedział, ażeśmy skamienieli ze zgrozy. Ale ja nic! Myślę sobie: jest ksiądz Żabkowski, niechże będzie dysputa. A mój ksiądz Żabkowski aż parska i zaraz z argumentami zmacał go pod żebro, on zaś nic na tę pierwszą racyą nie odrzekł, bo jak się wziął toczyć, tak aż o ścianę się oparł. Wtem nadszedł książę z księdzem Muchowieckim i na nas: że to hałasy i swary wszczynamy! że to nie czas, nie miejsce i nie argumenta! Zmyli nam głowy jak żakom — a bodaj czy słusznie, bo *utinam sim falsus vates*, ale te ministry pana Firleja ściągną jeszcze na nas jakie nieszczęście...

— A ówże kapitan Szenberk nie rewokował? — pytał pan Michał.

— Gdzie tam! umarł w bezecności, jak żył.

— Że też to ludzie wolą się zbawienia wyrzec, niż swego uporu! — westchnął pan Longinus.

— Bóg nas od przemocy i od czarów kozackich broni, — mówił dalej Zagłoba — a oni Go jeszcze obrażają. Czy waściom wiadomo, że wczoraj z tego tam ot szańca kłębkami nici na maj-

dan strzelano? Żołnierze powiadali, że zaraz w tem miejscu, gdzie kłębki padły, ziemia jakoby trądem się pokryła...

— Wiadoma rzecz, że przy Chmielnickim czarni za rękodajnych służą — rzekł, żegnając się, Litwin.

— Czarownice sam widziałem — dodał Skrzetuski — i powiem waszmościom...

Dalsze słowa przerwał pan Wołodyjowski, który ścisnął nagle ramię Skrzetuskiego i szepnął:

— Cicho-no!...

Potem skoczył nad sam brzeg okopu i słuchał pilnie.

— Nic nie słyszę — rzekł Zagłoba.

— Ts!... deszcz zagłusza! — odpowiedział Skrzetuski.

Pan Michał począł kiwać ręką, aby mu nie przeszkadzano, i czas jeszcze jakiś słuchał pilno; nakoniec zbliżył się do towarzyszów.

— Idą — szepnął.

— Daj znać księciu! poszedł ku kwaterom Ostroroga — odszepnął Skrzetuski; — my zaś pobieżymy ostrzedz żołnierzy.

I zaraz z miejsca puścili się wzdłuż okopu, zatrzymując się co chwila i szepcąc wszędy po drodzie czuwającym żołnierzom:

— Idą! idą!...

Słowa przeleciały, jakby cichą błyskawicą, z ust do ust. Po kwadransie przyjechał książę

już na koniu i wydał rozkazy oficerom. Ponieważ nieprzyjaciel chciał widocznie zaskoczyć obóz we śnie i nieczynności, więc książę polecił utrzymać go w błędzie. Żołnierze mieli się zachować jak najciszej i dopuścić szturmujących aż na same wały, poczem dopiero, gdy wystrzał z działa da znak, uderzyć na nich niespodzianie.

Żołnierz był w gotowości, więc tylko rury muszkietów pochyliły się bez szelestu, i zapadło głuche milczenie. Skrzetuski, pan Longinus i pan Wołodyjowski dyszeli obok siebie, a i pan Zagłoba został z nimi, bo wiedział z doświadczenia, że najwięcej kul pada na środek majdanu — a na wale, przy takich trzech szablach, najbezpieczniej.

Usadowił się tylko trochę z tyłu rycerzy, aby pierwszy impet na niego nie przyszedł. Nieco z boku przykląkł pan Podbipięta z zerwikapturem w ręku, a Wołodyjowski przycupnął tuż przy Skrzetuskim i szepnął mu w samo ucho:

— Idą napewno...

— Krok pod miarę.

— To nie czerń, ani Tatarzy.

— Piechota zaporoska.

— Albo janczary; oni dobrze maszerują. Z konia możnaby ich więcej naciąć!

— Dziś ciemno na jazdę.

— Słyszysz teraz?

— Ts! ts!...

Obóz zdawał się być pogrążony w najgłębszym śnie. Nigdzie żadnego ruchu, nigdzie światła — wszędy najgłębsze milczenie, przerywane tylko szelestem drobnego, jakby sianego przez sito dżdżu. Zwolna jednak w tym szeleście powstawał drugi, cichy, ale łatwiejszy do ułowienia uchem, bo miarowy i coraz bliższy, coraz wyraźniejszy; nakoniec, o kilkanaście kroków od fosy, zjawiła się jakaś wydłużona, zbita masa, tyle widzialna, ile czarniejsza od ciemności — i zatrzymała się w miejscu.

Żołnierze utaili dech w piersiach, tylko mały rycerz szczypał w udo Skrzetuskiego, jakby chcąc mu w ten sposób swoje zadowolenie okazać.

Tymczasem napastnicy zbliżyli się do fosy i poczęli w nią spuszczać drabiny, następnie zleźli po nich sami i przechylili je ku wałowi.

Wał milczał ciągle, jakby na nim i za nim wszystko wymarło — i cisza nastała śmiertelna.

Tu i owdzie, mimo całej ostrożności wstępujących, szczeble zaczęły skrzypieć i trzeszczeć...

— Dadzą wam bobu! — myślał Zagłoba.

Wołodyjowski przestał szczypać Skrzetuskiego, a pan Longinus ścisnął rękojeść zerwikaptura i wytężył oczy, bo był najbliżej wału i spodziewał się pierwszy uderzyć.

Wtem trzy pary rąk zjawiły się u krawędzi i chwyciły się jej silnie, a za niemi poczęły

się zwolna i ostrożnie podnosić trzy szpice od misiurek... wyżej i wyżej...

— To Turcy! — pomyślał pan Longinus.

W tej chwili rozległ się straszliwy huk kilku tysięcy muszkietów; zrobiło się widno, jak w dzień. Nim światło zgasło, pan Longinus zamachnął się i ciął okropnie, aż powietrze zawyło pod ostrzem.

Trzy ciała wpadły w fosę, trzy głowy w misiurkach potoczyły się pod kolana klęczącego rycerza.

Wówczas, choć piekło zawrzało na ziemi, niebo otworzyło się przed panem Longinem, skrzydła urosły mu u ramion, chóry anielskie rozśpiewały mu się w piersi, i był jakby w niebo wzięty, i walczył jak we śnie, i cięcia jego miecza były jakby modlitwą dziękczynną.

A wszyscy dawno zmarli Podbipiętowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie — że taki był z Zerwikapturów-Podbipiętów żyjący ostatni.

Szturm ten, w którym ze strony nieprzyjaciela posiłkowe hufce Turków urumelskich, sylistryjskich i gwardya chanowa janczarów brały przeważny udział, krwawiej od innych został odparty i ściągnął straszliwą burzę na głowę Chmielnickiego. Zaręczał on bowiem poprzednio, że Polacy mniej zaciekle z Turkami będą walczyli, i byle mu tych rot pozwolono, obóz zdo-



Niebo otworzyło się przed panem Longinem, skrzydła urosły mu u ramion i walczył, jak we śnie.

będzie. Musiał więc teraz łagodzić chana i rozwścieczonych murzów, oraz podarkami ich zniewalać. Chanowi pozwolił dziesięć tysięcy talarów, zaś Tuhaj-bejowi, Korz-Adze, Subagaziemu, Nuradynowi i Gałdze po dwa. Tymczasem w obozie czeladź wyciągała trupy z fosy, w czem nie przeszkadzano jej strzelaniem z szańców. Żołnierze spoczywali aż do rana, bo było to już pewne, że szturm się nie powtórzy. Spali tedy wszyscy snem nieprzebudzonym, prócz chorągwi strażowych i prócz pana Longina Podbipięty, który noc całą krzyżem na mieczu leżał, dziękując Bogu, iż mu pozwolił ślub spełnić i taką wielką chwałą się okryć, że imię jego przechodziło z ust do ust w obozie i w mieście. Nazajutrz wezwał go do siebie książę-wojewoda i chwalił wielce, a żołnierze przychodzili tłumami cały dzień winszować i oglądać trzy głowy, które czeladź przyniosła mu przed namiot, a które już czerniały na powietrzu. Było tedy podziwu i zazdrości niemało, a niektórzy wierzyć oczom nie chcieli, bo tak były równo ścięte wraz ze stalowymi czepcami od misiurek, jakby kto nożycami odkroił.

— Straszliwy z waści sartor! — mówiła szlachta. — Wiedzieliśmy o tobie, żeś dobry kawaler, ale takiego ciosu mogliby i starożytni pozazdrościć, bo i najgrzeczniejszy kat. lepiej nie potrafi.

— Wiatr tak czapek nie zdejmie, jako te głowy są zdjęte! — mówili inni.

I wszyscy ściskali dłonie pana Longina, a on stał ze spuszczonemi oczyma, promienny, słodki — zawstydzony jako panna przed ślubem, i mówił, jakby się tłómacząc:

— Ustawili się dobrze...

Próbowano następnie miecza, ale że to był krzyżacki, dwuręczny koncerz, nikt nie mógł nim swobodnie poruszać, nie wyjmując nawet księdza Żabkowskiego, choć on podkowę jak trzcinę przełamywał.

Koło namiotu robiło się coraz gwarniej, a pan Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski czynili honory przybywającym, częstując ich opowiadaniem, bo nie było czem innem, jako że ostatnich już prawie sucharów dogryzano w obozie, a mięsa innego, prócz wędzonej koniny, dawno nie stawało. Ale przecie duch starczył za jadło i napitek. Pod koniec, gdy inni zaczęli się już rozchodzić, nadszedł pan Marek Sobieski, starosta krasnostawski, ze swoim porucznikiem Stępowskim. Pan Longinus wybiegł na jego spotkanie, on zaś powitał go wdzięcznie i rzekł:

— To u waszmości dziś święto.

— Pewnie, że święto, — odparł Zagłoba — bo nasz przyjaciel ślub spełnił.

— Chwała Panu Bogu! — odparł starosta: —

to już niezadługo, braciszku, powitamy was kosmatą ręką. A macieże co upatrzonego?

Pan Podbipięta zmieszał się nadzwyczajnie i zaczerwienił aż do uszu, a starosta mówił dalej:

— Po konfuzyi miarkuję, że tak jest. Święty to wasz obowiązek pamiętać, aby taki ród nie zaginął. Daj Boże, żeby się na kamieniu rodzili podobni żołnierze, jak waszmościowie we czterech jesteście.

To rzekłszy, począł ściskać ręce pana Longina, Skrzetuskiego, Zagłoby i małego rycerza, a oni uradowali się w sercach, że z takich ust pochwałę słyszą, bo pan starosta krasnostawski był zwierciadłem męstwa, honoru i wszystkich cnót rycerskich. Był to wcielony Mars; zlały się na niego wszystkie dary Boże w obfitości, gdyż nadzwyczajną pięknością, nawet młodszego brata Jana, późniejszego króla, przewyższał, fortuną i imieniem najpierwszym wyrównywał, a jego zdolności wojenne sam wielki Jeremi pod niebiosa wynosił. Nadzwyczajna też byłaby to gwiazda na niebie Rzeczypospolitej, lecz ze zrządzenia Bożego blask jej wziął w siebie młodszy Jan, a ona zgasła przedwcześnie w dniu klęski.

Atoli rycerze nasi uradowali się wielce pochwałą bohatera, ten zaś wcale na niej nie poprzestał i tak dalej mówił.

— Siła ja o waszmościach od samego księcia

wojewody słyszałem, który nad innych was miłuje. Nie dziwię się też, że mu służycie, nie oglądając się na promocye, któreby w królewskich chorągwiach łatwiej przyjść mogły.

Na to odrzekł Skrzetuski:

— Wszyscy my w królewskiej właśnie, usarskiej chorągwi jesteśmy pod znak zapisani, z wyjątkiem pana Zagłoby, który, jako wolentarz, z wrodzonej rezolucyi staje. A że pod księciem wojewodą służymy, to w pierwszym rzędzie z miłości dla jego osoby, a powtóre, chcieliśmy wojny jak najwięcej zażywać.

— Jeżeliście taką mieli chęć, to słusznie czynicie. Pewnieby pan Podbipięta pod niczyją chorągwią tak łatwo swoich głów nie znalazł — odrzekł starosta. — Ale co do wojny, to w tych czasach wszyscy jej mamy do syta.

— Więcej niźli czego innego — odparł Zagłoba. — Przychodzili tu do nas od rana z pochwałami, ale żeby nas kto na przekąskę i łyk gorzałki poprosił, tenby nas najwdzięczniej uczęstował.

To powiedziawszy, pan Zagłoba pilno patrzał w oczy staroście krasnostawskiemu i mrugał niespokojnie. Starosta zaś uśmiechnął się i rzekł:

— Od wczorajszego południa nic w gębę nie wziąłem, ale łyk gorzałki może się w jakim sepeciku znajdzie. Służę waszmościom.

Lecz Skrzetuski, pan Longinus i mały ry-

cerz poczęli się opierać i gromić pana Zagłobę, który się wykręcał jak mógł i tłómaczył jak umiał.

— Nie przymawiałem się, — mówił — bo ambicya moja w tem, że wolę swoje oddać, byle cudzego nie ruszyć, ale gdy tak zacna persona prosi, toż *grubijanitas* byłaby odmawiać.

— Już też pójdźcie! — mówił starosta. — I mnie miło w dobrej kompanii posiedzieć, a póki nie strzelają, mamy czas. Na jadło was nie proszę, bo i o koninę już trudno, a co nam konia na majdanie ubiją, to sto rąk po niego się wyciąga, wszelako gorzałki jest ze dwie flasze, których dla siebie pewnie nie będę chował.

Tamci jeszcze się opierali i nie chcieli, ale gdy bardzo nastawał, poszli, a przodem pobiegł pan Stępowski i tak się uwinął, że kilka sucharów i kilka kawałków koniny znalazło się do przegryzienia po wódce. Pan Zagłoba zaraz nabrał lepszej myśli i mówił:

— Da Bóg, że jak król Jegomość nas wyzwoli z tego oblężenia, to się zaraz pospolitemu ruszeniu do wozów dobierzemy. Oj, siła oni specyałów zawsze z sobą wożą, i brzucha każdy lepiej strzeże, niż Rzeczypospolitej. Wolę z nimi jeść, niż wojować, ale że to pod okiem królewskiem, to może będą nieźle stawali.

Starosta spoważniał.

— Jakośmy sobie zaprzysięgli, — rzekł —

że jeden na drugim padnie, a nie poddamy się, tak się i stanie. Musimy być na to gotowi, że coraz cięższe czasy przyjdą. Żywności już prawie niema, a co gorsza, to i prochy się kończą. Innym jabym tego nie mówił, ale waszmościom można. Niedługo jeno zaciekłość w sercach i szable w ręku nam pozostaną — i gotowość na śmierć, więcej nic. Daj Boże króla jak najprędzej, bo to ostatnia nadzieja. Wojenny to pan! Pewnieby fatygi, i zdrowia, i gardła nie żałował, byle nas wyzwolić — ale za małe ma siły i musi czekać, a waszmościowie wiecie, jak pospolite ruszenie powoli się ściąga. I zresztą skąd król Jegomość ma wiedzieć, w jakich my tu kondycyach się bronimy i że już okruchów dojadamy?

— My już siebie ofiarowali — rzekł Skrzetuski.

— A żeby tak dać znać? — pytał Zagłoba.

— Żeby się znalazł kto taki cnotliwy, — rzekł starosta — ktoby się przekraść podjął, tenby nieśmiertelną sławę za życia pozyskał, tenby był zbawcą całego wojska i od ojczyzny klęskęby odwrócił. Choćby i pospolite ruszenie jeszcze w całości nie stanęło, to może sama blizkość króla zdołałaby bunt rozproszyć. Ale kto pójdzie? kto się podejmie, gdy Chmielnicki tak poobsadzał wszystkie drogi i wyjścia, że mysz się nie przeciśnie z okopu? Jawna i oczywista to śmierć taka impreza!

— A od czego fortele? — rzekł Zagłoba. — I jeden już mi do głowy przychodzi.

— Jaki? jaki? — pytał starosta.

— A owo codzień bierzemy po garści jeńców. Żeby tak którego przekupić? niechby udał, że od nas uciekł, a potem ruszył do króla.

— Muszę o tem z księciem pomówić — rzekł starosta.

Pan Longinus zamyślił się głęboko, aż czoło pokryło mu się brózdami, i cały czas siedział milczący. Nagle podniósł głowę i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

— Ja się podejmę przekraść przez kozaków.

Rycerze, usłyszawszy te słowa, porwali się zdumieni z miejsc, pan Zagłoba usta otworzył, Wołodyjowski począł ruszać wąsikami raz po razu, Skrzetuski przybladł, a starosta krasnostawski uderzył się po aksamicie i zakrzyknął:

— Waćpan podjąłbyś się tego dokonać?

— Czyś waść rozważył co mówisz? — rzekł Skrzetuski.

— Dawno rozważyłem, — rzekł Litwin — bo już to nie od dziś między rycerstwem mówią, że trzeba dać znać królowi jegomości o naszem położeniu. A ja, słysząc to, myślałem sobie w duchu: niechby mnie Bóg najwyższy pozwolił ślub mój spełnić, zarazbym poszedł. Ja, lichy człek, co ja znaczę? co mnie będzie za szkoda, chociaż usieką po drodze?

— Ależ usieką bez pochyby! — zawołał Zagłoba. — Słyszałeś waść, co pan starosta mówił, że to śmierć oczywista?

— Tak i co z tego, brateńku? — rzekł pan Longinus. — Jak Bóg zechce, to przeprowadzi, a nie, to w niebie nagrodzi.

— Ale pierwej cię pochwycą, mękami zmorzą i śmierć okrutną zadadzą. Człeku, czyś rozum stracił? — mówił Zagłoba.

— A taki pójdę, brateńku — odparł ze słodyczą Litwin.

— Ptakby nie przeleciał, bo z łukuby go ustrzelili. Okopali nas naokoło, jako jaźwca w jamie.

— A taki pójdę! — powtórzył Litwin. — Ja Bogu wdzięczność winien, że mnie ślub spełnić pozwolił.

— No, widzicie go! patrzcie się na niego! — wołał zdesperowany Zagłoba — To lepiej każ sobie odrazu głowę uciąć i z armaty na tabor wystrzelić, bo w ten tylko sposób mógłbyś się między nimi przecisnąć.

— Już pozwólcie, dobrodzieje! — rzekł Litwin, składając ręce.

— O nie! nie pójdziesz sam, bo i ja pójdę z tobą — rzekł Skrzetuski.

— I ja z wami! — dodał Wołodyjowski, uderzając się po szabelce.

— A niechże was kule biją! — zawołał po-

rwawszy się za głowę, Zagłoba — niechże was kule biją z waszem «i ja! i ja!» z waszą determinacyą! Mało im jeszcze krwi, mało zaguby, mało kul! Niedość im tego, co się tu dzieje: chcą pewniej szyje pokręcić! Idźcieże do kaduka i dajcie mnie spokój! Bodaj was usiekli...

To rzekłszy, począł się kręcić po namiocie, jak błędny.

— Bóg mnie karze, -- wołał — żem się z wichrami wdawał, zamiast żyć w zacnej kompanii statecznych ludzi. Dobrze mi tak!

Przez chwilę chodził jeszcze po namiocie gorączkowym krokiem; nakoniec zatrzymał się przed Skrzetuskim, założył ręce w tył i, patrząc mu w oczy, począł sapać groźnie.

— Com ja waćpanom takiego uczynił, że mnie prześladujecie?

— Uchowajże nas Boże!—odrzekł rycerz.— Jak to?

— Bo że pan Podbipięta takowe rzeczy wymyśla, nie dziwię się! Zawsze miał dowcip w pięści, a od czasu jak ściął największych trzech kpów między Turkami, sam czwartym został...

— Słuchać hadko! — przerwał Litwin.

— I jemu się nie dziwię — mówił dalej Zagłoba, wskazując Wołodyjowskiego. — On kozakowi za cholewę wskoczy, albo mu się hajdawerów, jak rzep psiego ogona uczepi, i najprędzej z nas wszystkich się przedostanie. Ich

obydwóch Duch święty nie oświecił — ale że waćpan, zamiast ich od szaleństwa powściągnąć, jeszcze im bodźca dodajesz, że sam idziesz, że wszystkich nas czterech na pewną śmierć i męki chcesz wydać — to już... ostatnia rzecz! Tfu, do licha, nie spodziewałem się tego po oficyerze, którego sam książę za statecznego kawalera uważał.

— Jak to czterech? — rzekł zdziwiony Skrzetuski. — Chciałżebyś i waćpan?...

— Tak jest! — krzyczał, bijąc się pięściami po piersi, Zagłoba: — pójdę i ja. Jeżeli który z was się ruszy, albo wszyscy w kupie, pójdę i ja. Niech moja krew spadnie na wasze głowy! Będę miał na drugi raz naukę, z kim się wdawać.

— A bodajże waści! — rzekł Skrzetuski.

Trzej rycerze poczęli go brać w ramiona, ale on naprawdę się gniewał, i sapał, i odpychał ich łokciami, mówiąc:

— Idźcie do kaduka! nie potrzeba mi waszych judaszowskich pocałunków!

Wtem na wałach ozwały się strzały armatnie i muszkietowe. Zagłoba zatrzymał się i rzekł:

— Macie! macie! idźcie!

— To zwykła strzelanina — zauważył Skrzetuski.

— Zwykła strzelanina! — rzekł przedrzeźniając szlachcic. — A no, to proszę! Mało im

tego. Połowa wojska od tej zwykłej strzelaniny stopniała, a oni już na nią nosem kręcą.

— Bądź waćpan dobrej myśli — rzekł pan Podbipięta.

— Milczałbyś, boćwino! — huknął Zagłoba — boś najwinniejszy. Waćpan to wymyślił tę imprezę, która, jeśli nie jest głupia, to ja głupi!

— A taki pójdę, brateńku! — odrzekł pan Longinus.

— Pójdziesz! pójdziesz! i wiem dlaczego! Waćpan się za bohatera nie podawaj, bo cię znają. Czystość masz na zbyciu i pilno ci ją z okopu wynieść. Najgorszyś między rycerstwem, nie najlepszy; poprostu gamratka z waszmości, która cnotą handluje! Tfu! obraza boska! Otóż to! Nie do króla ci pilno, ale radbyś rżał po wsiach, jak koń na błoni. Oto rycerz — patrzcie się, co niewinność ma na przedaż! Zgorszenie, czyste zgorszenie, jak mnie Bóg miły!

— Słuchać hadko! — wołał, zatykając uszy, pan Longinus.

— Dajcie pokój swarom! — rzekł poważnie Skrzetuski. — Lepiej o sprawie myślmy.

— Na Boga! — rzekł starosta krasnostawski, który dotychczas ze zdumieniem słuchał pana Zagłoby: — wielka to jest rzecz, ale bez księcia nie możemy nic stanowić. Tu niema się co spierać. Waćpanowie w służbie jesteście i ordynansów słuchać musicie. Książę musi być u siebie.

Pójdźmyż do niego, co on na ochotę waszmościów powie.

— To co i ja! — rzekł Zagłoba, i nadzieja wypogodziła mu oblicze. — Pójdźmy co prędzej.

Wyszli i szli przez majdan, na który kule już padały z szańców kozackich. Wojska były u wałów, które zdala wyglądały jak budy jarmarczne, tyle na nich nawieszano starej, pstrej odzieży, kożuchów, tyle nastawiano wozów, szczątków namiotów i wszelkiego rodzaju rzeczy, mogących stanowić zasłonę od strzałów, które czasem po całych tygodniach nie ustawały we dnie i w nocy. Jakoż i teraz nad owymi porozwieszanymi łachmanami ciągnęła się długa, błękitnawa smuga dymu, a przed nimi widać było leżące szeregi czerwonych i żółtych żołnierzy, pracujących ciężko przeciw najbliższym szańcom nieprzyjacielskim. Sam majdan wyglądał jak jedno rumowisko; równina, podarta rydlami, lub stratowana przez konie, nie zieleniła się ani jednem źdźbłem trawy. Gdzieniegdzie sterczały kopce wydobytej świeżo przy kopaniu studni i mogił ziemi, gdzieniegdzie leżały szczątki potrzaskanych wozów, armat, beczek, lub stosy ogryzionych i zbielałych na słońcu kości. Trupa końskiego nie dojrzałeś nigdzie, bo każdy zabierano natychmiast na żywność dla żołnierzy, natomiast wszędy widać było gromady żelaznych, po większej części zrudziałych już od

rdzy kul armatnich, którcmi codziennie zasypywano ten szmat ziemi. Ciężka wojna i głód widne były na każdym kroku. Idąc, spotykali żołnierze nasi większe i mniejsze kupy żołnierzy, to odnoszące rannych i zabitych, to śpieszące ku walom z pomocą zbyt strudzonym towarzyszom — a wszystkie twarze zczerniałe, zapadłe, zarosłe — a srogie oczy rozpalone, odzież wypłowiała, podarta, na głowach często szmaty brudne, zamiast czapek i hełmów, broń połamana. I mimowoli przychodziło na myśl pytanie: co się stanie z tą garścią dotychczasowych zwycięzców, gdy jeszcze upłynie tydzień, dwa?...

— Patrzcie, waszmościowie — mówił starosta: — czas, czas dać znać królowi.

— Nędza już szczerzy zęby, jak pies — odpowiedział mały rycerz.

— A co będzie, gdy konie zjemy? — pytał Skrzetuski.

Tak rozmawiając, doszli do namiotów książęcych, stojących z prawej strony wału, przed którymi widać było kilkunastu jeźdźców służbowych, przeznaczonych do rozwożenia rozkazów po obozie. Konie ich, karmione śrutowanem i wędzonem mięsem końskiem, a stąd trawione ustawicznym ogniem, rzucały się w szalonych podskokach, nie chcąc żadną miarą ustać na miejscu. Tak już było z końmi wszystkiej jazdy, która gdy szła teraz na nieprzyjaciela, zdawało

się, że to stado gryfów lub hipocentaurów sadzi przez pola, więcej pędząc powietrzem, niż ziemią.

— Czy jest książę w namiocie? — spytał starosta jednego z jeźdźców.

— Jest z panem Przyjemskim — odpowiedział pocztowy.

Starosta wszedł pierwszy, nie oznajmując się; czterej zaś rycerze zatrzymali się przed namiotem.

Ale po chwili płótno uchyliło się, i pan Przyjemski wysadził głowę:

— Książę chce widzieć pilno waszmościów — rzekł.

Pan Zagłoba wszedł do namiotu z dobrą myślą, miał bowiem nadzieję, że książę nie będzie chciał najlepszych swych rycerzy na pewną zgubę narażać, omylił się jednak, bo jeszcze nie zdążyli mu się pokłonić, gdy rzekł:

— Powiadał mi pan starosta o gotowości waszej wyjścia z obozu, a ja dobre chęci wasze przyjmuję. Ojczyźnie nie można nadto ofiarować.

— Przyszliśmy jeno o pozwolenie pytać, — odrzekł Skrzetuski — gdyż wasza książęca mość jesteś szafarzem krwi naszej.

— Więc to we czterech chcecie wyjść?

— Wasza książęca mość! — rzekł Zagłoba. — Oni to chcą wyjść, a ja nie; Bóg mi świadek, nie przyszedłem się tu chwalić, ani swych zasług przypominać, i jeżeli o nich wspomnę, to

jeno dlatego, żeby nie było supozycyi, że mnie tchórz oblatuje. Wielcy to są kawalerowie pan Skrzetuski, Wołodyjowski i pan Podbipięta z Myszykiszek, ale i Burłaj, który legł z mej ręki (że o innych przewagach zamilczę), także był wielki żołnierz, wart Bardabuta, Bohuna i trzech głów janczarskich — mniemam przeto, że w dziele rycerskiem nie jestem gorszy od innych. Jednakże co innego jest męstwo, a co innego szaleństwo. Skrzydeł nie mamy, a ziemią się nie przedostaniem — to pewno.

— Więc waść nie idziesz? — pytał książę.

— Powiedziałem, że iść nie chcę, ale nie powiedziałem, że nie idę. Kiedy mnie raz Bóg pokarał ich kompanią, to już do śmierci muszę w niej wytrwać. Jeżeli nam będzie ciasno, szabla Zagłoby przyda się jeszcze, nie wiem tylko, na coby się przydała śmierć nas czterech, i ufam, że wasza książęca mość zechce ją od nas odwrócić, nie dając pozwolenia na szalone przedsięwzięcie.

— Dobry z waści kompan, — odpowiedział książę — i zacnie to z twojej strony, że przyjaciół opuszczać nie chcesz, aleś się w swojej ufności we mnie pomylił, bo ja ofiarę waszą przyjmuję.

— Zdechł pies! — mruknął Zagłoba, i ręce opadły mu zupełnie.

W tej chwili kasztelan bełski, Firlej, wszedł do namiotu.

— Mości książę, — rzekł — ludzie moi złapali kozaka, który powiada, że na dzisiejszą noc szturm się gotuje.

— Miałem i ja już wiadomość — odpowiedział książę. — Wszystko w pogotowiu; niech tylko z sypaniem tych nowych wałów śpieszą.

— Już prawie skończone.

— To dobrze! — rzekł książę. — Do wieczora się przeniesiemy.

Potem zwrócił się do czterech rycerzy:

— Po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna najlepsza pora do wyjścia.

— Jak to? — rzekł kasztelan bełski: — mości książę, gotujesz wycieczkę?

— Wycieczka swoją drogą pójdzie — rzekł książę: — ja sam poprowadzę; ale teraz mówimy o czem innem. Ichmościowie podejmują się przekraść przez nieprzyjaciela i dać znać królowi o naszem położeniu.

Kasztelan zdumiał, oczy otworzył i spoglądał kolejno na rycerzy.

Książę uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał tę próżność, że lubił, by podziwiano jego żołnierzy.

— Na Boga! — rzekł kasztelan — więc są jeszcze takie serca na świecie? Na Boga! nie będę ja waszmościów od tego hazardu odwodził...

Pan Zagłoba zaczerwienił się ze złości, ale już nic nie rzekł, sapał tylko jak niedźwiedź, książę zaś zamyślił się przez chwilę i w następujące ozwał się słowa:

— Nie chcę ja jednak nadarmo krwią waszmościów szafować i na to się nie zgadzam, abyście wszyscy czterej razem wychodzili. Pójdzie naprzód jeden; jeśli go zabiją, to się tem pochwalić nie omieszkają, jako się już raz pochwalili śmiercią tego mego sługi, którego aż pode Lwowem schwytali. Jeżeli tedy pierwszego zabiją, pójdzie drugi, potem w razie potrzeby trzeci i czwarty. Ale być może, że pierwszy przejdzie szczęśliwie — w takim razie nie chcę innych na próżną śmierć narażać.

— Mości książę... — przerwał Skrzetuski.

— Taka moja wola i rozkaz — rzekł z naciskiem Jeremi. — By zaś was pogodzić, oświadczam, że ten wyruszy pierwszy, który się pierwszy ofiarował.

— To ja! — rzekł pan Longinus z promienną twarzą.

— Dziś w wieczór, po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna — dodał książę. — Listów żadnych do króla nie dam; co waść widzisz, to opowiesz. Weźmiesz jeno sygnet na znak.

Podbipięta przyjął sygnet i pokłonił się księciu, ten zaś wziął go obiema rękoma za skronie

i trzymał czas jakiś, a potem ucałował po kilkakroć w głowę i rzekł wzruszonym głosem:

— Tak mi blizki jesteś serca, jak brat... Niech cię prowadzi i przeprowadzi Bóg zastępów i nasza Królowa Anielska, żołnierzu Boży! Amen!

— Amen! — powtórzyli starosta krasnostawski, pan Przyjemski i kasztelan belski.

Książę miał łzy w oczach — bo to był prawdziwy ojciec dla rycerstwa — inni płakali, a ciałem pana Podbipięty wstrząsał dreszcz zapału, i płomień chodził mu po kościach, i radowała się do głębi ta dusza czysta, pokorna a bohaterska, nadzieją blizkiej ofiary.

— Historya o waszmości pisać będzie! — wykrzyknął kasztelan belski.

— *Non nobis, non nobis, sed nomini Tuo, Domine, da gloriam* — rzekł książę.

Rycerze wyszli z namiotu.

— Tfu, coś mnie za grzdykę ułapiło i trzyma, a w gębie tak mi gorzko, jak po piołunie — mówił Zagłoba. — A tamci ciągle strzelają — żeby was pioruny wystrzelały! — rzekł, wskazując dymiące szańce kozackie. — Oj, ciężko żyć na świecie! Panie Longinie, czy to już koniecznie waćpan wyjdziesz?... Niechże cię anieli ustrzegą... Żeby to zaraza to chamstwo wydusiła!

— Muszę waszmościów pożegnać — rzekł pan Longinus.

— Jak to? dokąd idziesz? — pytał Zagłoba.

— Do księdza Muchowieckiego, do spowiedzi, braciaszku. Trzeba grzeszną duszę oczyścić.

To rzekłszy, pan Longinus poszedł śpiesznie ku zamkowi, oni zaś zwrócili się ku wałom. Skrzetuski i Wołodyjowski byli jak struci i milczeli, pan Zagłoba zaś mówił:

— Ciągle mnie coś za grzdykę trzyma. Nie spodziewałem się, że mi będzie taki żal, ale najcnotliwszy to człowiek na świecie! — niech mi kto zaprzeczy, to mu dam w pysk. O Boże! Boże! myślałem, że kasztelan bełski będzie hamował, a on jeszcze bębenka podbijał. Kaduk przyniósł tego heretyka! «Historya (mówi) o waszmości pisać będzie!» Niech o nim samym pisze, ale nie na skórze pana Longina! A czemu to on sam nie wyjdzie? Po sześć ma palców u nóg, jako kalwin, to mu i chodzić łatwiej. Mówię waszmościom, że coraz gorzej na świecie, i pewnie prawda, co ksiądz Żabkowski prorokuje, że koniec świata blizki. Posiedźmy trochę u wałów, a później pójdziemy do zamku, żeby się naszego przyjaciela kompanią przynajmniej do wieczora nacieszyć.

Ale pan Podbipięta, po spowiedzi i Komunii, cały czas spędził na modlitwie; zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych, bo kozacy uderzyli właśnie wówczas, gdy wojska, działa i wozy przenosiły

się do nowo usypanych wałów. Przez chwilę zdawało się, że szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół. Chorągwie polskie tak dalece pomieszały się z nieprzyjacielskiemi, że swoi swoich odróżnić nie mogli — i trzy razy tak wiązali się z sobą. Chmielnicki wytężył wszystkie siły, bo mu i chan i właśni pułkownicy zapowiedzieli, że to ma być ostatni szturm, i że odtąd głodem tylko będą nękali oblężonych. Ale po trzech godzinach, wszystkie ataki zostały odparte z tak strasznemi stratami, że były później wieści, jakoby do czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół miało paść w tej bitwie. To pewna, że po bitwie rzucono cały stos chorągwi pod nogi księcia — i że istotnie był to wielki szturm ostatni, po którym nadeszły jeszcze cięższe czasy wkopywania się w wały, porywania wozów, bezprzestannej strzelaniny, nędzy i głodu.

Niestrudzony Jeremi, natychmiast po szturmie, prowadził upadających ze znużenia żołnierzy na wycieczkę, która zakończyła się nową klęską nieprzyjaciół — poczem dopiero cisza ukoiła tabór i obóz.

Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów. Byli to: pan Longinus, Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski.

— Pistolety dobrze osłoń, — szeptał Skrze-

tuski — żeby proch nie zwilgotniał. Dwie chorągwie będą stały w pogotowiu całą noc. Jeżeli dasz ognia, skoczymy na ratunek.

— Ciemno, choć oko wykol! — szepnął Zagłoba.

— To lepiej — odrzekł pan Longinus.

— Cicho-no! — przerwał Wołodyjowski — coś słyszę.

— To jakiś konający chrapie — nic to!...

— Byleś się do dębiny dostał...

— O Boże! Boże! — westchnął Zagłoba, trzęsąc się jak w febrze.

— Za trzy godziny będzie dniało.

— To już czas! — rzekł Longinus.

— Czas! czas — powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem. — Idź z Bogiem!

— Z Bogiem! z Bogiem!

— Bądźcie bracia zdrowi, a przebaczcie, jeżelim któremu w czem zawinił.

— Tyś zawinił? O Boże! — zawołał Zagłoba, rzucając mu się w ramiona.

Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko pan Longinus był spokojny, choć wzruszony.

— Bądźcie zdrowi! — powtórzył raz jeszcze.

I zbliżywszy się do brzegu wału, zsunął się w fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej

brzegu, raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom i znikł w ciemności.

Między drogą do Załościc, a gościńcem z Wiśniowca, rosła dąbrowa, przerywana wązkiemi, wpoprzek idącemi łąkami, a łącząca się z borem starym, gęstym i ogromnym, przechodzącym aż hen za Załościce — tam to postanowił dostać się pan Podbipięta.

Droga to była wielce niebezpieczna, bo żeby dostać się do dębiny, trzeba było przechodzić wzdłuż całego boku kozackiego taboru, ale pan Longinus wybrał ją umyślnie, bo właśnie koło taboru, przez całą noc, kręciło się najwięcej ludzi i straże najmniej dawały baczenia na przechodzących. Zresztą wszystkie inne drogi, jary, zarośla i ścieżki poobsadzane były strażami, które objeżdżali ustawicznie esaułowie, setnicy, pułkownicy, a nawet i sam Chmielnicki. O drodze przez łąki i wzdłuż Gniezny nie było co i marzyć, bo tam koniuchowie tatarscy czuwali od zmierzchu do świtania przy koniach.

Noc była ciepła, chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie dojrzałeś nietylko człowieka, ale nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z drugiej strony i sam musiał iść bardzo wolno, ostrożnie, aby nie wpaść w który z dołów, lub rowów, pokrywających na całej przestrzeni pobojowisko, skopane polskiemi i kozackiemi rękoma.

W ten sposób dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono — i przeprawiwszy się przez fosę, puścił się chyłkiem ku szańcom i aproszom kozackim. Stanął i słuchał: szańce były puste. Wycieczka Jeremiego, dokonana po szturmie, wyparła z nich mołojców, którzy albo polegli, albo schronili się do taboru. Mnóstwo ciał leżało na skłonach i szczytach tych nasypów. Pan Longinus potykał się co chwila o trupy, przestępował przez nie i szedł naprzód. Od czasu do czasu słaby jakiś jęk albo westchnienie zwiastowały, że niektórzy z leżących żyją jeszcze.

Za wałami obszerna przestrzeń, ciągnąca się aż do drugiego okopu, sypanego jeszcze przez regimentarzy, również była pokryta trupami. Dołów i rowów było tu jeszcze więcej, a co kilkadziesiąt kroków stały owe zakrywki ziemne, podobne w ciemności do stogów. Lecz i zakrywki były puste. Wszędy panowało najgłębsze milczenie, nigdzie ani ogniska, ani człowieka — nikogo na całym dawnym majdanie, prócz poległych.

Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłe i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż nakoniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i obejrzał się po raz ostatni.

Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obo-

zie nie było świateł; jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jako gwiazdka, którą chmury to odkryją, to przesłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie naprzemian.

— Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu? — pomyślał pan Longinus.

I tęsknota przygniotła go, jakby olbrzymi kamień. Zaledwie mógł oddychać. Tam, gdzie drży owo światełko błędne, tam są swoi, tam są serca bratnie, książę Jeremi, Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, ksiądz Muchowiecki — tam go kochają i radziby go obronić — a tu noc, pustka, ciemność, trupy pod nogami, korowody dusz — w dali zaś tabor krwiożerczy zaklętych, niemiłosiernych wrogów.

Kamień tęsknoty stał się tak ciężki, że za ciężki nawet na barki tego olbrzyma. Dusza poczęła się w nim wahać.

Nadleciał do niego w ciemności blady niepokój i począł szeptać mu do ucha: «Nie przejdziesz, to niepodobieństwo! — wróć się, jeszcze, jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek. — Przez te tabory, przez tę dzicz nie przejdzie nikt».

Ow obóz ogłodzony, zasypywany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinowi cichą, bezpieczną przystanią.

Tam przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby

wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły — a oni sami już nie pójdą, ani nikogo nie wyślą — i będą czekali dalej bożego i królewskiego zmiłowania.

A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie?

— W imię Ojca, i Syna i Ducha świętego! To są pokusy szatańskie — pomyślał pan Longinus. — Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiem, trupami, ciemnością, bo on ze wszystkiego korzysta.

Miałżeby rycerz sromotą się okryć, sławę postradać, imię zhańbić — wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec? Nigdy!

I ruszył dalej, wyciągając przed siebie ręce.

Wtem szmer go znowu doszedł, ale już nie z obozu polskiego, jeno z przeciwnej strony, niewyraźny jeszcze, ale jakiś głęboki i groźny, jak pomruk niedźwiedzia, odzywający się nagle w ciemnym lesie. Lecz niepokój opuścił już duszę pana Longina, tęsknota przestała ciężyć i zmieniła się w słodką tylko pamięć o bliźnich; nakoniec, jakby odpowiadając groźbie dolatującej od strony taboru, powtórzył sobie w duszy raz jeszcze:

— A taki pójdę.

Po pewnym czasie znalazł się na owem pobojowisku, na którem w dniu pierwszego szturmu jazda książęca rozbiła kozaków i janczarów.

Droga tu już była równiejsza, mniej rowów, dołów, nakrywek i nic prawie ciał, bo co w dawniejszych walkach poległo, to kozacy już uprzątnęli. Było tu również nieco jaśniej, gdyż rozmaite przeszkody nie zasłaniały przestrzeni. Grunt spadał pochyło ku południowi, ale pan Longinus skręcił zaraz w bok, pragnąc się prześliznąć między zachodnim stawem a taborem. Szedł teraz szybko, bez przeszkód, i już zdawało mu się, że dosięga linii taboru, gdy nowe jakieś odgłosy zwróciły jego uwagę.

Zatrzymał się natychmiast i po kwadransie oczekiwania usłyszał zbliżający się tupot i parskanie koni.

— Straże kozackie! — pomyślał.

Wtem i głosy ludzkie doszły jego uszu, więc rzucił się co duchu w bok i, zmacawszy nogami pierwszą nierówność gruntu, padł na ziemię i wyciągnął się bez ruchu, trzymając w jednej ręce pistolet, w drugiej miecz.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się jeszcze bardziej i nakoniec zrównali się z nim zupełnie. Było tak ciemno, że nie mógł ich porachować, ale słyszał każde słowo rozmowy.

— Im ciężko, ale i nam ciężko — mówił senny jakiś głos. — A ilu to dobrych mołojców ziemię gryzie!

— Hospody! — rzekł drugi głos. — Mówią, że korol niedaleko... co z nami będzie?

— Chan rozgniewał się na naszego bat'ka, a Tatary grożą, że nas w łyka wezmą, jeżeli nie będzie kogo.

— I na pastwiskach się z naszymi biją. Bat'ko zakazał chodzić do kosza, bo kto tam pójdzie, przepadnie.

— Mówią, że między bazarnikami są przebrane Lachy. Bodaj tej wojny nie bywało!

— Gorzej nam teraz, niż przedtem.

— Korol niedaleko z lacką potęgą — to najgorzej!

— Hej, na Siczy tyby teraz spal, a tu tłucz się pociemku, jak siromacha.

— Muszą tu się i siromachy włóczyć, bo konie chrapią.

Głosy oddalały się stopniowo — i nakoniec znikły. Pan Longinus podniósł się i szedł dalej. Deszcz, tak drobny jak mgła, począł mżyć. Zrobilo się jeszcze ciemniej.

Po lewej stronie pana Longina zabłysło w odległości dwóch staj małe światełko, potem drugie i trzecie, dziesiąte. Teraz był już pewny, że znajduje się na linii taboru.

Światła były rzadkie i mdłe — widać spali tam już wszyscy, i tylko gdzieniegdzie może pito, lub gotowano strawę na jutro.

— Bogu dzięki, że po szturmie i wycieczce idę — rzekł do siebie pan Longinus. — Znużeni muszą być śmiertelnie.

Zaledwie to pomyślał, gdy z dala usłyszał znów tupot koński — jechała druga straż.

Ale grunt w tem miejscu więcej był popękany, więc i schronić się było łatwiej. Straż przeszła tak blizko, że omal nie najechała na pana Longina. Szczęściem, konie przywykłe przechodzić koło leżących ciał nie zestraszyły się. Pan Longinus poszedł dalej.

Na przestrzeni tysiąca kroków trafił na dwa jeszcze patrole. Widocznem było, że cały krąg objęty taborem strzeżony był, jak źrenica oka. Pan Longinus cieszył się tylko w duchu, że nie napotyka pieszych placówek, które stawiano zwykle przed taborami, aby podawały wiadomości konnym strażom.

Ale radość jego niedługo trwała. Zaledwie uszedł znowu staje drogi, gdy jakaś czarna postać zamajaczyła przed nim nie dalej, niż na dziesięć kroków. Pan Longinus, jakkolwiek nieustraszony, poczuł jakby lekki dreszcz w krzyżach. Cofać się i obchodzić było za późno. Postać poruszyła się, widocznie go spostrzegła.

Nastąpiła chwila wahania się, krótka jak mgnienie oka. Nagle ozwał się przyciszony głos:

— Wasil, to ty?

— Ja — rzekł cicho pan Longinus.

— A gorzałkę masz?

— Mam.

— Dawaj.

Pan Longinus zbliżył się.

— A co ty taki wysoki? — powtórzył tenże sam głos tonem przestrachu.

Coś zakotłowało się w ciemności. Krótki, zduszony w tej samej chwili wykrzyk: «Hosp!...» wyrwał się z ust strażnika — potem dał się słyszeć jakby trzask łamanych kości, ciche chrapanie, i jedna postać upadła ciężko na ziemię.

Pan Longinus szedł dalej.

Ale nie szedł po tej samej linii, była to bowiem widocznie linia placówek — więc skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między plecami widet a szeregiem wozów. Jeżeli nie było drugiego łańcucha straży, mógł pan Longinus na tej przestrzeni napotkać tylko tych, którzy wychodzili z taboru na zmianę. Konne oddziały straży nie miały tu co robić.

Po chwili pokazało się, że drugiego łańcucha placówek nie było. Za to tabór nie był dalej, niż dwa strzelenia z łuku — i dziwna rzecz, zdawał się być coraz bliżej, jakkolwiek pan Longinus starał się iść równolegle od szeregów wozów.

Pokazało się również, że nie wszyscy spali w taborze. Przy tlejących tu i owdzie ogniskach widać było siedzące postacie. W jednem miejscu ognisko było większe, tak nawet wielkie, że prawie dosięgało blaskiem pana Longina, tak, że rycerz znów musiał się cofnąć ku placówkom,

aby nie przechodzić przez pas światła. Z daleka rozpoznał pan Longin wiszące w pobliżu ognia, na słupach podobnych do krzyżów, woły, z których rzeźnicy zdzierali skóry. Spore kupki ludzi przypatrywały się czynności. Niektórzy przygrywali z cicha rzeźnikom na piszczałkach. Była to ta część obozu, którą zajmowali czabańczycy. Dalsze szeregi wozów otaczała ciemność.

Lecz ściana taboru, oświecona mdlemi światłami ognisk, znów była jakby bliżej pana Longina. Z początku miał ją tylko po prawej ręce. Nagle spostrzegł, że ma ją i przed sobą.

Wówczas stanął i namyślał się co począć. Był otoczony. Tabor, kosz tatarski i obozy czerni okalały, jakby pierścieniem, cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać.

Położenie pana Longina było straszne. Miał teraz do wyboru albo przemknąć się między wozami, albo szukać innego wyjścia między kozactwem a koszem. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu po owem kolisku — chybaby się chciał cofać znów do Zbaraża, ale nawet i w takim razie mógł wpaść w ręce straży. Rozumiał jednak, że już sama natura gruntu nie pozwala na to, aby wóz stał przy wozie. Musiały w szeregach ich być przerwy, i znaczne, bo zresztą takie przerwy konieczne były dla komunikacyi,

dla wolnej drogi potrzebnej jeździe. Pan Longinus postanowił szukać podobnego przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze bardziej do wozów. Blaski płonących tu i owdzie ognisk mogły go zdradzić, ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów, ani drogi między nimi.

Jakoż po kwadransie poszukiwań znalazł przecie drogę i poznał ją łatwo, bo wyglądała jakby czarny pas między wozami. Nie było w nim ognisk, nie mogło być i kozaków, gdyż tamtędy musiała przechodzić jazda. Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści, jak wąż do jamy.

Upłynął kwadrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie — w obronę z ciałem i z duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc modlił się nietylko za siebie — ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego.

Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał — i pan Longinus przeszedł, czerniały też przed nim chrósty i gąszcze, za którymi rosła dębina, za dębiną bór, aż hen do Toporowa, za borem król, zbawienie, i sława i zasługa przed Bogiem i ludźmi. Czemże

było ścięcie trzech głów wobec tego czynu, do którego coś więcej, prócz żelaznej ręki, trzeba było posiadać!

Pan Longinus sam czuł tę różnicę — ale nie wezbrało pychą to czyste serce, tylko jak serce dziecka rozpłynęło się w łzy wdzięczności.

Potem podniósł się i szedł dalej. Placówek z tamtej strony wozów nie było, albo rzadkie, do uniknięcia łatwiejsze. Tymczasem począł padać większy deszcz, i szeleścił po zaroślach, i głuszył jego kroki. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje długie nogi i szedł, jak olbrzym, depcąc krze — co stąpi krok, to jakby kto inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej — i zbawienie coraz bliżej.

Oto już i dęby! Noc pod nimi tak czarna, jak w podziemiu. Ale to i lepiej. Wstał lekki wiatr, więc dęby szumią z lekka, rzekłbyś — mruczą pacierz: «Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchrońże tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwalę!»

Już od okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana Longina. Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne, coś niby zbiera się na burzę, ale on idzie, ani dba o burzę, bo mu w sercu anieli śpiewają. Dębina rzednie. Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszeleściały mocniej, jakby chciały rzec: «Zaczekaj, bezpiecznie

ci było wśród nas» — ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu.

Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków, z pod rozłożystych gałęzi olbrzyma wysuwa się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza.

— Kto ty? kto ty?

Język ich niezrozumiały: nakrycia głowy jakieś spiczaste — to Tatarzy, to koniuchowie, którzy się tu przed deszczem schronili.

W tej chwili czerwona błyskawica rozświeciła łąkę, dąb, dzikie postacie Tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk straszliwy wstrząsnął powietrzem, i walka zawrzała w jednej chwili. Tatarstwo rzuciło się na pana Longina, jak wilcy na jelenia i chwyciło go żylastemi rękoma, lecz on wstrząsnął się tylko, i wszyscy zapaśnicy opadli tak z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Potem straszliwy zerwikaptur zazgrzytał w pochwie — i wnet rozległy się jęki, wycia, wołania na ratunek, świst miecza, charkotanie pobitych, rżenie przerażonych koni, szczęk łamanych szabel tatarskich. Cicha łąka zabrzmiała wszystkimi dzikimi głosami, jakie tylko mieszczą się w ludzkich gardzielach.

Tatarzy rzucili się raz i drugi kupą na rycerza, ale on już oparł się plecami o dąb, a od

przodu nakrył się wichrem miecza — i ciął straszliwie. Trupy zaczerniły mu się pod nogami — inni cofnęli się, zdjęci paniczną trwogą.

— Diw! diw! — rozległy się dzikie wycia.

Lecz wycia te nie zostały bez echa. Nie upłynęło pół godziny, i cała łąka zamrowiła się pieszymi i jezdnymi. Biegli kozacy i Tatarzy, z kosami, z drągami, z łukami — ze szczapami palącego się łuczywa. Gorączkowe pytania poczęły się krzyżować i przelatywać z ust do ust:

— Co to jest, co się stało? — Diw! odpowiadali koniuchowie. — Diw! powtarzały tłumy. — Lach! Diw! Ubij! Żywcem bierz! Żywcem!

Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletów, ale wystrzałów tych nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie.

Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkolem, on zaś stał w cieniu — olbrzymi, oparty o drzewo, i czekał z mieczem w ręku.

Tłum zbliżał się coraz bardziej. Nakoniec zagrzmiał głos komendy:

— Bierz go!

Co żyło, rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzki kłębił się i przewracał pod drzewem — jęki tylko wydobywały się z tego wiru, i przez długi czas nie można było nic rozpoznać. Nareszcie krzyk przestrachu wyrwał

się z piersi atakujących. Tłum pierzchnął w jednej chwili.

Pod drzewem został pan Longinus, a pod jego nogami kupa ciał, drgających jeszcze w agonii.

— Sznurów, sznurów! — zabrzmiał jakiś głos.

Wnet jezdni kopnęli się po sznury i przywieźli je w mgnieniu oka. Wówczas po kilkunastu tęgich chłopów chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrępować pana Longina do drzewa.

Ale pan Longin ciął mieczem — i chłopi z obu stron padali na ziemię. Z tym samym skutkiem próbowali następnie Tatarzy.

Widząc, że zbyt wielki tłum przeszkadza sobie wzajem, poszło raz jeszcze kilkunastu najśmielszych nohajców, chcąc koniecznie uchwycić żywcem wielkoluda, ale on podarł ich, jak odyniec rozdziera zajadłe kundle. Dąb, zrosły z dwóch potężnych drzew, osłaniał środkową wklęsłością rycerza — z przodu zaś, kto się zbliżył na długość miecza, marł, nie wydawszy nawet krzyku. Nadludzka siła pana Podbipięty zdawała się wzrastać jeszcze z każdą chwilą.

Widząc to, rozwścieczona orda spędziła kozaków — i naokół rozległy się dzikie wołania:

— Uk! uk!...

Wówczas na widok łuków i strzał wysypywanych z kołczanów pod nogi, poznał i pan

Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litanię do Najświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie.

Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: «Matko Odkupiciela!» — i obtarła mu skroń.

Druga strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: «Panno wsławiona!» — i utkwiła mu w ramieniu.

Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał.

I gdy pan Longinus powiedział: «Gwiazdo zaranna!» już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już jak przez mgłę, łąkę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... nakoniec ukląkł.

Potem, na wpół już z jękiem powiedział pan Longinus: «Królowo Anielska!» — i to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją jako perłę jasną u nóg «Królowej Anielskiej».

ROZDZIAŁ LXI.

Pan Wołodyjowski i Zagłoba stali następnego rana na wałach, między żołnierstwem, spo-

glądając pilno ku taborowi, od którego strony zbliżały się masy chłopstwa. Skrzetuski był na radzie u księcia, oni zaś, korzystając z chwili spokoju, rozmawiali o dniu wczorajszym i o tym ruchu w taborze nieprzyjacielskim.

— Nic nam to dobrego nie wróży — rzekł Zagłoba, ukazując czarne masy, idące nakształt olbrzymiej chmury. — Pewno do szturmu znów ruszą, a tu już ręce nie chcą chodzić w stawach.

— Gdzieby tam zaś miał być szturm, przy dniu jasnym, o tej porze! — rzekł mały rycerz. — Nie uczynią nic więcej, jeno zajmą nasz wczorajszy wał i znów wkopywać się będą do nowego i strzelać przytem od rana do wieczora.

— Możnaby ich dobrze z armat przepłoszyć.

Wołodyjowski zniżył głos.

— Prochów skąpo — rzekł. — Przy takim ekspensie podobno już i na sześć dni nie starczy. Ale w tym czasie pewnie król nadciągnie.

— Niechże się już dzieje co chce. Aby nasz pan Longin, niebożątko, przedostał się szczęśliwie! Przez całą noc spać nie mogłem, tylko o nim myślałem, a com się zdrzemnął, tom go w opresyi widział, i taki mnie żal brał, że aż poty na mnie biły. Najlepszy to człowiek, jakiego w Rzeczypospolitej możesz znaleźć, z latarnią przez trzy roki i sześć niedziel chodząc.

— A czemuś to waćpan zawsze z niego dworował?

— Bo gęba we mnie paskudniejsza od serca. Ale już mi go, panie Michale, nie zakrwawiaj wspomnieniem, gdy i tak wyrzuty sobie czynię, a broń Boże jakiego przypadku na pana Longina, tobym do śmierci chyba nie miał spokoju.

— Już też tak dalece się waćpan nie gryź. Nie miał on nigdy do waści żadnego rankoru i słyszałem, jak sam mówił: «Gęba hadka, serce złote!»

— Dajże mu Boże zdrowie, przyjacielowi zacnemu! Nigdy on po ludzku nie umiał mówić, ale setnie takowe niedostatki wielkiemi cnotami nagradzał. Co myślisz, panie Michale? zali przeszedł szczęśliwie?

— Noc była ciemna, a chłopi po klęsce straszliwie *fatigati*. U nas dobrych straży nie było, a cóż dopiero u nich!

— To chwała Bogu! Zalecałem też panu Longinowi, żeby się o naszą niebogę kniaziównę pilno dopytywał, azali gdzie jej nie widzieli, bo tak myślę, że Rzędzian musiał się do wojsk królewskich przedostawać. Pan Longinus pewnie na odpoczynek nie pójdzie, tylko z królem tu przyciągnie. W takim razie mielibyśmy niezadługo o niej wiadomość.

— Ufam ja w dowcip tego pachołka, że ją tam jakoś ocalił. Użbym nie zaznał uciechy,

gdyby ją zguba spotkała. Krótkom ją znał, ale w to wierzę, że gdybym siostrę miał, toby mi nie była milsza.

— Dla ciebie siostra, a dla mnie córuchna. Od tych trosk chyba mi broda do reszty zbieleje, a serce od żalu pęknie. Co kogo pokochasz — raz, dwa, trzy — i już go niema, a ty siedź, troskaj się, martw, gryź, rozmyślaj, mając w dodatku brzuch pusty i dziury w czapczynie, przez które, jak przez złą strzechę, woda na łysinę leci. Psom teraz w Rzeczypospolitej lepiej niż szlachcie, a nam czterem to już ze wszystkich najgorzej. Czasby już chyba do lepszego świata się wybrać, panie Michale, albo co?

— Nieraz myślałem, czyby nie lepiej powiedzieć Skrzetuskiemu o wszystkiem, ale to mnie wstrzymuje, że sam on nigdy o niej jednem słowem nie wspomniał, a bywało, jak kto wymówi, to się tylko wzdrygnie, jakby go co w sercu ukłóło.

— Gadajże mu, rozdzieraj rany w ogniu tej wojny przyschłe, a ją tam może już jaki Tatarzyn przez Perekop za warkocz prowadzi. Świece jarzęce mi w oczach stają, gdy sobie taki termin pomyślę. Czas już umierać, nie może być inaczej, bo na świecie męka tylko i nic więcej. Żeby choć pan Longinus przemknął się szczęśliwie!

— Musi on mieć większe w niebie łaski, niż

inni, bo cnotliwy. Ale patrz-no waćpan, co tam hultajstwo robi!...

— Taki dziś blask od słońca, że nic nie widzę.

— Wał nasz wczorajszy rozkopują.

— A mówiłem, że będzie szturm. Chodźmy stąd, panie Michale, dość już tego stania.

— Nie dlatego to oni kopią, żeby koniecznie do szturmu iść, ale muszą mieć otwartą drogę do odwrotu i przytem pewno będą tamtędy machiny wprowadzać, w których strzelcy siedzą. Patrz-no waść, aż łopaty warczą; już na jakie czterdzieści kroków zarównali.

— Teraz widzę, ale okrutny dziś blask.

Pan Zagłoba nakrył oczy ręką i patrzał. W tej chwili przez rozkopany w wale wycinek rzuciła się rzeka czerni i rozlała w mgnieniu oka po pustej między wałami przestrzeni. Jedni zaczęli zaraz strzelać; inni, ryjąc ziemię łopatami, poczęli wznosić nowy zasyp i szańce, które trzecim z kolei pierścieniem miały zamknąć polski obóz.

— Oho! — zawołał Wołodyjowski: — nie mówiłem?... już i machiny wtaczają!

— No, to szturm będzie jako żywo. Chodźmy stąd — rzekł Zagłoba.

— Nie, to inne beluardy! — odpowiedział mały rycerz.

I istotnie, machiny, które ukazały się w otwo-

rze, inaczej były budowane od zwykłych hulajgrodów; ściany ich bowiem składały się z zestosowanych skoblami drabin, pokrytych odzieżą i skórami, z poza których najcelniejsi strzelcy, siedzący od połowy wysokości machiny aż do jej szczytu, razili nieprzyjaciela.

— Pójdźmy, niech ich tam psy pozagryzają! — powtórzył Zagłoba.

— Czekaj waść — odpowiedział Wołodyjowski.

I począł liczyć maszyny, w miarę, jak coraz nowe ukazywały się w otworze.

— Raz, dwa, trzy... mają ich widać zapas niemały... cztery, pięć, sześć — idą coraz wyższe... siedm, ośm... każdego psa zabiją z tych machin na naszym majdanie, bo tam być muszą strzelcy *exquisitissimi* — dziewięć, dziesięć — widać każdą jak na dłoni, bo słońce na nie pada — jedenaście...

Nagle pan Michał urwał rachubę.

— Co to jest? — spytał dziwnym głosem.

— Gdzie?

— Tam, na tej najwyższej... człowiek wisi!

Zagłoba wytężył wzrok; istotnie na najwyższej machinie słońce oświeciło nagi trup ludzki, kołyszący się na powrozie, zgodnie z ruchem beluardy, nakształt olbrzymiego wahadła.

— Prawda — rzekł Zagłoba.

Wtem Wołodyjowski pobladł jak płótno i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Boże wszechmogący!... to Podbipięta!

Szmer powstał na wałach, jakoby wiatr przeleciał po liściach drzew. Zagłoba przechylił głowę, zatknął dłońmi oczy i szeptał zsinialemi wargami, jęcząc:

— Jezus Marya! Jezus Marya!...

Wtem szmer zmienił się w szum zmieszanych słów, a potem w huk, jakby wzburzonej fali. Poznało wojsko stojące na wałach, że na tym haniebnym sznurze wisi towarzysz ich niedoli, rycerz bez skazy — poznali wszyscy, że to pan Longinus Podbipięta, i gniew straszny począł podnosić włosy na głowach żołnierzy.

Zagłoba oderwał wreszcie dłonie od powiek: strach było na niego spojrzeć; na ustach miał pianę, twarz siną, oczy wyszły mu na wierzch.

— Krwi! krwi! — ryknął tak strasznym głosem, że aż dreszcz przeszedł blizko stojących.

I skoczył w fosę. Za nim rzucił się kto żyw na wałach. Żadna siła, nawet rozkazy księcia, nie zdołałyby powstrzymać tego wybuchu wściekłości. Z fosy wydobywali się jedni po ramionach drugich, chwytali się rękoma i zębami za brzeg rowu — a kto wyskoczył, biegł naoślep, nie bacząc, czy inni biegną za nim. Beluardy zadymiły jak smolarnie i wstrząsnęły się od huku wystrzałów, ale nic to nie pomogło. Zagłoba leciał pierwszy z szablą nad głową, straszny, wściekły, podobny do rozhukanego buhaja. Do-

pieroż kozacy skoczyli także z cepami, z kosami na napastników, i rzekłbyś: dwie ściany uderzyły się z łoskotem. Lecz syte brytany nie mogą bronić się długo głodnym i wściekłym wilkom. Wyparci z miejsca, cięci szablami, darci zębami, bici i gnieceni, kozacy nie wytrzymali furyi — i wnet zaczęli się mieszać, a potem pierzchać ku otworowi. Pan Zagłoba szalał; rzucał się w największy tłum jak lwica, której zabrano lwięta; rzęził, chrapał, ciął, mordował, deptał! Pustka czyniła się przed nim, a przy nim szedł, jak drugi płomień niszczący, Wołodyjowski, podobny do rannego rysia.

Strzelców ukrytych w beluardach wycięto w pień, resztę goniono aż za otwór w wale. Potem żołnierze weszli na beluardę i, odczepiwszy pana Longina, ostrożnie spuścili go na ziemię.

Zagłoba runął na jego ciało...

Wołodyjowski również serce miał rozdarte i zalewał się łzami na widok martwego przyjaciela. Łatwo było poznać, jaką pan Longinus zginął śmiercią, bo całe ciało było pokryte centkami od ran przez groty zadanych. Twarzy tylko nie popsuły mu strzały, prócz jednej, która zostawiła długą rysę na skroni. Kilka kropli krwi zakrzepło mu na policzku, oczy miał zamknięte, a w bladem obliczu uśmiech pogodny, i gdyby nie bladość błękitna oblicza, gdyby nie

chłód śmierci w rysach — zdawaćby się mogło, że pan Longinus śpi spokojnie. Wzięli go wreszcie towarzysze i ponieśli na barkach do okopu, a stamtąd do kaplicy zamkowej.

Do wieczora zbito trumnę, i pogrzeb odbył się nocą na cmentarzu zbaraskim. Stanęło wszystko duchowieństwo ze Zbaraża, prócz księdza Żabkowskiego, który w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon, blizki był śmierci; przyszedł książę, zdawszy dowództwo staroście krasnostawskiemu, i regimentarze, i pan chorąży koronny, i chorąży nowogródzki, i pan Przyjemski, i Skrzetuski, i Wołodyjowski, i Zagłoba, i towarzystwo chorągwi, w której nieboszczyk służył. Ustawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się rozpoczęła.

Noc była cicha, gwiaździsta, pochodnie paliły się równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stojących wokoło rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, roznosząc zapach myrry i jałowcu; ciszę przerywało tylko tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wzniósł rękę na znak, iż poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś milczał jeszcze chwilę, potem

utkwił oczy w gwiaździstych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

— «Co to tam za stukanie słyszę po nocy, w niebieskie podwoje? — pyta sędziwy klucznik Chrystusowy, ze smacznego snu się zrywając.

Otwórz św. Pietrze, otwórz! jam Podbipięta.

«Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbipięto, tak zacnego furtyana inkomodować? Jakiemże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu nawet purpury, jeszcze same przez się, wolnego wstępu nie dają? dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba?

«Ach! otwórz święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł komiliton i drogi towarzysz nasz, pan Podbipięta — aż wreszcie przyszedł do ciebie, jako gołąb po długim locie utrudzon: przyszedł nagi jako Łazarz, przyszedł jako święty Sebastyan, strzałami pogańskiemi podarty, jak Hiob biedny, jako dzieweczka, która męża nie zaznała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmazy grzechowej, z ofiarą krwi dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej.

«Puść go, święty Pietrze, bo jeżeli jego nie

puścisz — kogoż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności?

«Puśćże go, święty kluczniku! puść tego baranka; niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża...»

W taki to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, który najmniejszych skromnością, największych cnotą przenosił. Bili się tedy w piersi wszyscy, i coraz większa ogarniała ich żałość, i coraz wyraźniej widzieli, jaki to paroksyzm ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się, i gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów i wojska, sam się rozpłakał i mówił, szlochając, jak Zagłoba: «Żegnaj nam, bracie, żegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancyi odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizeryą i opresyą — pewniej tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam już nie wrócisz, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy!«

Płakali za zacnym księdzem wszyscy, i książę, i regimentarze, i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy «*Requiem aeternam dona ei, Domine!*» — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie zahartowani na śmierć i codzienną praktyką oddawna do niej przywykli. W chwili, gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłoby trudno było od niej oderwać, jakby mu brat, albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: «*Anima ejus...*» — zahurgotały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, hełmami — i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbipięty urósł wysoki kopiec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.

Trzej przyjaciele wracali z miasta na majdan, z. którego ustawicznie dochodził odgłos strzałów. Szli w milczeniu, gdyż żaden z nich nie chciał pierwszego słowa przemówić — lecz inne gromadki rycerstwa gwarzyły między sobą o nieboszczyku, sławiąc go zgodnie.

— Pogrzeb miał tak foremny, — mówił jakiś oficer, przechodząc obok Skrzetuskiego — że

i panu pisarzowi Sierakowskiemu lepszego nie sprawili.

— Bo też nań zasłużył — odpowiedział drugi oficer. — Ktoby to inny podjął się przedrzeć do króla?

— A ja słyszałem, — dodał trzeci — że między wiśniowieccczykami było kilku ochotników, ale po tak strasznym przykładzie pewnie już wszystkich ochota odeszła.

— Bo też to i niepodobna. Wąż się nie prześliznie.

— Jako żywo, czysteby to było szaleństwo!

Oficerowie przeszli. Nastała znów chwila milczenia. Nagle Wołodyjowski rzekł:

— Słyszałeś, Janie?

— Słyszałem — odpowiedział Skrzetuski. — Moja dziś kolej.

— Janie! — rzekł poważnie Wołodyjowski: — znasz mnie od dawna i wiesz, że się przed hazardem nierad cofam, ale co innego hazard, a co innego proste samobójstwo.

— I tyż to mówisz, Michale?

— Ja, bom ci przyjaciel.

— I jam ci przyjaciel: dajże mi kawalerski parol, że nie pójdziesz trzeci, jeżeli ja zginę.

— O! nie może być! — zakrzyknął Wołodyjowski.

— A widzisz, Michale! Jakże to możesz ode

mnie wymagać tego, czegobyś sam nie uczynił? Niechże się dzieje wola Boża!

— To pozwól mi iść razem.

— Książę zabrania, nie ja — a tyś żołnierz i słuchać musisz.

Pan Michał zamilkł, bo istotnie żołnierz to był przedewszystkiem, więc począł tylko wąsikami ruszać gwałtownie przy księżycu, nakoniec rzekł:

— Noc bardzo widna — nie idź dzisiaj.

— Wolałbym, żeby była ciemniejsza — odrzekł Skrzetuski — ale zwłoka niepodobna. Pogoda, jako widzisz, uczyniła się na długo, a tu prochy się kończą, żywność się kończy. Żołnierze już na majdanie kopią, korzonków szukając — innym dziąsła gniją od paskudztwa, które jedzą. Dziś pójdę, zaraz; już em się z księciem pożegnał.

— To widzę, żeś po prostu desperat.

Skrzetuski uśmiechnął się smutno.

— Bodajże cię, Michale! Pewnie, że w rozkoszach nie opływam, ale dobrowolnie śmierci nie będę szukał, boć to i grzech, a zresztą nie o to chodzi, żeby zginąć, jeno o to, żeby wyjść, i dojść do króla, i obóz zbawić.

Wołodyjowskiego porwała nagle taka chęć powiedzieć Skrzetuskiemu wszystko o kniaziównie, że prawie już usta otwierał; ale pomyślał sobie: «Od nowiny w głowie mu się pomiesza

i tem łatwiej go schwytają» — więc ugryzł się w język i zmilczał, a natomiast spytał:

— Którędy pójdziesz?

— Mówiłem księciu, że pójdę przez staw, a później rzeką, póki się daleko za tabor nie przedostanę. Książę powiedział, że to lepsza droga, niż inne.

— Niema, jak widzę, rady — odrzekł Wołodyjowski. — Raz człeku śmierć przeznaczona, a lepsza na polu chwały, niż na łożu. Bóg cię prowadź! Bóg cię prowadź, Janie! Jeżeli nie zobaczymy się na tym świecie, to na tamtym, a ja ci serca pewnie dochowam.

— Jako i ja tobie. Bóg ci zapłać za wszystko dobre. A słuchaj, Michale, jeżeli zginę, oni mnie może nie sprezentują, jako pana Longina, bo zbyt srogą naukę dostali, ale się pewnie i tak jakowymś sposobem pochwalą: niechże w takim razie stary Zaćwilichowski pojedzie do Chmielnickiego po moje ciało, bo nie chciałbym, aby mnie psi po ich taborze włóczyli.

— Bądź pewien — odrzekł Wołodyjowski.

Pan Zagłoba, który z początku nawpół przytomnie rozmowy słuchał, zrozumiał wreszcie o co idzie, ale nie znalazł w sobie już dość siły, aby wstrzymywać lub odmawiać, tylko począł jęczeć głucho:

— Wczoraj tamten, dziś ten... Boże! Boże! Boże!...

— Ufaj waćpan! — rzekł Wołodyjowski.

— Panie Janie!... — zaczął Zagłoba.

I nie mógł nic więcej powiedzieć, jeno siwą, strapioną głowę wsparł na piersi rycerza i tak tulił się do niego, jak niedołężne dziecko.

W godzinę później Skrzetuski pogrążył się w wody zachodniego stawu.

Noc była bardzo jasna, i środek stawu wyglądał jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem porosły był gęsto sitowiem, trzciną i bucianem, dalej pomiędzy rzadszą trzciną rosły w obfitości grążele, rdest wodny i roślęże. Cała ta mieszanina szerokich i wązkich liści, oślizgłych łodyg, wężowatych skrętów, chwytając za nogi i wpół ciała, utrudniała niezmiernie posuwanie się naprzód, ale ukrywała przynajmniej rycerza przed oczyma straży. O przepłynięciu przez jasną środkową szybę nie było co i myśleć, bo każdy czarniawy przedmiot byłby na niej spostrzeżony z łatwością. Skrzetuski więc postanowił okrążyć brzegiem cały staw, aż do bagienka leżącego po drugiej stronie, przez które wpływała do stawu rzeka. Prawdopodobnie stały tam straże kozackie, albo tatarskie, ale za to rósł cały las trzcin, którego brzegi były tylko wycięte na szałasy dla czerni. Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzcin nawet we dnie, chybaby topielisko okazało się

zbyt głębokie. Lecz i ta droga była straszna. Pod tą śpiącą wodą, nie głębszą z brzegu nad stopę, taiło się głębokie na łokieć i więcej błoto. Za każdym krokiem Skrzetuskiego na powierzchnię wód wydostawało się mnóstwo baniek, których bulgotanie doskonale można było słyszeć wśród ciszy. Prócz tego, mimo całej powolności jego ruchów, tworzyły się koła fal, biegnące coraz dalej od środka aż na niezarosłą przestrzeń, na której łamało się w nich światło księżyca. W czasie deszczu byłby po prostu Skrzetuski przepłynął staw i najdalej w pół godziny dotarł do bagienka, ale na niebie nie było ani jednej chmurki. Całe potoki zielonawego światła lały się na staw, zmieniając liście grążeli w srebrne tarcze, a pióra trzcin w srebrne kity. Wiatr nie wiał; na szczęście, grzechot wystrzałów głuszył bulgotanie baniek wodnych, co spostrzegłszy, Skrzetuski poruszał się tylko wówczas, gdy salwy w okopach i szańcach stawały się żywsze. Lecz owa cicha, pogodna noc sprawiła jedną więcej trudność. Oto roje komarów podnosiły się z trzcin i utworzywszy kłąb nad głową rycerza, siadały mu na twarzy, oczach, kłójąc dotkliwie, brzęcząc i śpiewając nad jego uszyma żałosne swe nieszpory. Skrzetuski, wybierając tę drogę, nie łudził się co do jej trudności, ale nie przewidział wszystkiego. Nie przewidział mianowicie jej stra-

chów. Wszelka głębina wód, choćby najlepiej znanych, ma w nocy coś tajemniczego i przerażającego zarazem — i mimowoli napędza pytanie: co tam jest na dnie? A ten staw zbaraski był poprostu okropny. Woda zdawała się być w nim gęstsza od zwykłej wody — i wydawała zaduch trupi. Bo też gniły w niej setki kozaków i Tatarów. Obie strony wyciągały wprawdzie trupów, ale iluż ich mogło być ukrytych wśród trzcin, rdestu i gęstej uszycy? Skrzetuskiego obejmował chłód fali, a pot oblewał mu czoło. Co będzie, gdy jakieś oślizgłe ramiona uchwycą go nagle, albo gdy jakie zielonawe oczy spojrzą na niego z pod bucianów? Długie łodygi grzybienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topielec obejmuje go, aby już nie puścić. «Jezus, Marya! Jezus, Marya!» — szeptał bez ustanku, posuwając się naprzód. Chwilami podnosił oczy w górę i na widok księżyca, gwiazd i spokoju niebieskiego, doznawał pewnej ulgi. «Jest Bóg!» — powtarzał sobie półgłosem, tak, aby się sam mógł dosłyszeć. Czasem spoglądał na brzeg, i zdawało mu się, że z jakiegoś potępionego, zaziemskiego świata błota, czarnych głębin, bladych świateł księżycowych, duchów, i trupów, i nocy, spogląda na Bożą zwykłą ziemię — i tęsknota porywała go taka, że zaraz chciał z owej matni trzcin wychodzić.

Lecz posuwał się ciągle brzegiem i oddalił się już tak od obozu, że na tej Bożej ziemi dostrzegł o kilkadziesiąt kroków od brzegu stojącego na koniu Tatara — więc zatrzymał się i spoglądał na tę postać, która, miarkując z jej jednostajnych ruchów ku szyi końskiej, zdawała się być uśpioną.

Był to dziwny widok. Tatar kiwał się ciągle, jakby kłaniał się w milczeniu Skrzetuskiemu, a ten oczu z niego nie spuszczał. Było w tem coś strasznego, lecz Skrzetuski odetchnął z satysfakcyą, bo wobec tego rzeczywistego strachu pierzchły stokroć do zniesienia cięższe: urojone. Świat duchów odleciał gdzieś, i rycerzowi wróciła od razu zimna krew; do głowy poczęły się cisnąć takie tylko pytania jak: śpi, czy nie śpi? mam iść dalej, czy czekać?

Wreszcie poszedł dalej, posuwając się jeszcze ciszej, jeszcze ostrożniej, niż na początku podróży. Był już na pół drogi do bagienka i rzeki, gdy zerwał się pierwszy powiew lekkiego wiatru. Zakołysały się wnet trzciny i wydały, trącając jedna o drugą, szelest mocny, a Skrzetuski uradował się, bo mimo całej ostrożności, mimo iż czasem po kilka minut nad postawieniem stopy tracił, mimowolny ruch, potknięcie się, plusk mogły go zdradzić. Teraz szedł śmielej wśród głośnego rozhoworu trzcin, którym zaszumiał cały staw — i wszystko zagadało do-

koła, woda nawet na brzegach poczęła bełkotać rozkołysaną falą.

Lecz ten ruch rozbudził widocznie nietylko zarośla brzegowe, bo na raz jakiś czarniawy przedmiot zjawił się przed Skrzetuskim i począł chybotać się ku niemu, jak gdyby rozmachując się do skoku. Skrzetuski omal w pierwszej chwili nie krzyknął; strach i obrzydzenie zatamowały mu jednak głos w piersiach, a jednocześnie straszliwy zaduch uchwycił go za gardło.

Ale po chwili, gdy pierwsza myśl, że to może być topielec umyślnie zastępujący drogę, przeszła, pozostało tylko obrzydzenie — i rycerz ruszył dalej. Rozhowor trzcin trwał ciągle i wzmagał się coraz bardziej. Przez ich kołyszące się kiście, dojrzał Skrzetuski drugą i trzecią placówkę tatarską. Minął je, minął i czwartą. «Już z pół stawu musiałem okrążyć» — pomyślał — i podniósł się trochę z trzcin, aby rozpoznać, w którem miejscu się znajduje; wtem coś go trąciło w nogi, obejrzał się i ujrzał tuż obok swych kolan twarz ludzką.

— To już drugi — pomyślał.

Tym razem nie przeraził się, bo ten drugi trup leżał na wznak i nie miał w swej bezwładności pozorów życia i ruchu. Skrzetuski przyśpieszył tylko kroku, by nie dostać zawrotu głowy. Trzciny zaczynały być coraz gęstsze,

co z jednej strony dawało bezpieczne ukrycie, z drugiej jednak utrudniało niezmiernie pochód. Upłynęło jeszcze pół godziny, później godzina, on szedł ciągle, ale coraz więcej był strudzony. Woda w niektórych miejscach była tak płytka, że nie dochodziła mu do goleni, gdzieniegdzie za to zapadał niemal po pas. Męczyło go też niezmiernie powolne wyciąganie nóg z błota. Pot zalewał mu czoło, a jednocześnie od czasu do czasu przechodziły po nim dreszcze od stóp do głowy.

— Co to jest? — myślał ze strachem w sercu — czy mnie *delirium* nie chwyta? Bagienka jakoś niema; nuż nie rozpoznam miejsca wśród trzcin i ominę.

Było to straszne niebezpieczeństwo, bo w ten sposób mógłby krążyć całą noc naokoło stawu i zrana znaleźć się w tem samem miejscu, z którego wyszedł, lub wpaść na innem w ręce kozackie.

— Złą drogę obrałem — myślał, upadając w duchu; — przez stawy nie można, wrócę się jutro i pójdę, jak pan Longinus; do jutra mógłbym odpocząć.

Lecz szedł naprzód, bo poznawał, że obiecując sobie wrócić i ruszyć po odpoczynku, sam siebie oszukuje; przychodziło mu także do głowy, że idąc tak wolno i zatrzymując się co chwila, nie mógł jeszcze dojść do bagienka. Jednakże

myśl o odpoczynku opanowywała go coraz silniej. Chwilami miał chęć położyć się gdzie na błocie, by choć odetchnąć. Bił się tak z własnemi myślami, a jednocześnie modlił się. Dreszcze przechodziły go coraz częściej, coraz słabiej wyciągał nogi z błota. Widok straży tatarskich otrzeźwiał go, ale czuł, że i głowa męczy mu się jak ciało — i że nadlatuje nań gorączka.

Upłynęło znów pół godziny — bagienko nie ukazywało się jeszcze.

Natomiast ciała utopionych trafiały się coraz częściej. Noc, strach, trupy, szum trzcin, trud i bezsenność zmąciły mu myśli. Poczęły nań nadlatywać wizye. Oto Helena jest w Kudaku, a on płynie z Rzędzianem na dumbasie z biegiem dnieprowym. Trzciny szumią — on słyszy pieśń: «Ej to ne pili pilili!... ne tumany ustawały». Ksiądz Muchowiecki czeka ze stułą, a pan Krzysztof Grodzicki ojca zastąpi... Dziewczyna tam codzień patrzy na rzekę z murów — rychło patrzeć, jak w ręce zaklaszcze i krzyknie: «Jedzie! jedzie!»

— Jegomość! — mówił Rzędzian, ciągnąc go za rękaw — panna stoi...

Skrzetuski budzi się. To splątane trzciny zatrzymały go po drodze. Wizya ulatuje. Przytomność wraca. Teraz nie czuje już takiego zmęczenia, bo mu gorączka sił dodaje.

Hej, czy to jeszcze nie bagienko?

Ale naokół trzciny takie same, jakby z miejsca nie ruszył. Przy rzece powinna być woda otwarta, więc to jeszcze nie bagienko.

Rycerz idzie dalej, ale myśl wraca z nieubłaganym uporem do lubej wizyi. Próżno Skrzetuski się broni, próżno poczyna mówić: «O gospodzie uwielbiona», próżno stara się zachować całą przytomność — znowu nadpływa Dniepr, dumbasy, czajki — Kudak, Sicz — tylko tym razem wizya bezładniejsza, mnóstwo w niej osób: obok Heleny i książę, i Chmielnicki, i ataman koszowy, i pan Longinus, i Zagłoba, i Bohun i Wołodyjowski — wszyscy przybrani odświętnie na jego ślub, ale gdzie ma być ten ślub? Są w jakiemś miejscu nieznanem, ni to Łubnie, ni Rozłogi, ni Sicz, ni Kudak... wody jakieś, po nich ciała pływają...

Skrzetuski budzi się po raz drugi, a raczej budzi go mocny szelest, dochodzący ze strony, w którą idzie — więc zatrzymuje się i słucha.

Szelest zbliża się, słychać jakieś chrobotanie i plusk — to czółno.

Widać je już przez trzciny. Siedzi w niem dwóch mołojców — jeden popycha wiosłem, drugi trzyma w ręku długą tyczkę, świecącą zdala jak srebro, i rozgarnia nią wodne zarośla.

Skrzetuski osunął się aż po szyję w wodę, tak, że głowa tylko wystawała mu ponad sitowie, i patrzał.

— Jest-li to zwykła straż, czyli są już na tropie? — pomyślał.

Ale wnet doszedł po spokojnych i niedbałych ruchach mołojców, że to musi być zwyczajna straż. Czółen na stawie musiało być więcej niż jedno — i gdyby kozacy byli na tropie, pewnoby zgromadziło się kilkanaście łódek i kupa ludzi. Tymczasem przejechali mimo — szum trzcin głuszył słowa; Skrzetuski złowił uchem tylko następujący urywek rozmowy:

— Czortby ich pobraw, i cei smierdiaczoi wody kazały pylnowaty!

I czółno zasunęło się za kępy trzcin — tylko stojący na przedzie kozak uderzał ciągle miarowym ruchem tyczką w zarośla wodne, jakby chciał ryby straszyć.

Skrzetuski ruszył dalej.

Po niejakim czasie znów ujrzał placówkę tatarską, stojącą tuż nad brzegiem. Światło księżyca padało wprost na twarz nohajca, podobną do psiej mordy. Ale Skrzetuski mniej się już obawiał tych straży, niż utraty przytomności. Natężył więc całą wolę, by sobie jasno zdawać sprawę, gdzie jest i dokąd idzie. Ale ta walka powiększyła tylko jego znużenie, i wnet dostrzegł, że mu się dwoi i troi w oczach, że chwilami wydaje mu się staw obozowym majdanem, a kępy trzcin namiotami. Wówczas chciał wołać na Wo-

łodyjowskiego, by szedł z nim razem, ale tyle miał jeszcze przytomności, iż się wstrzymał.

— Nie krzycz! nie krzycz! — powtarzał sobie: — to zguba.

Lecz owa walka z samym sobą coraz była trudniejsza. Wyszedł ze Zbaraża znękany głodem i straszną bezsennością, od której umierali tam już żołnierze. Ta podróż nocna, zimna kąpiel, trupi oddech wody, błądzenie po błotach, szarpanina wśród korzeni roślin, osłabiły go do reszty. Dołączyło się i rozdrażnienie strachu i ból od ukąszeń komarów, które pokłóły mu tak twarz, że cała była krwią oblana — więc czuł, że jeżeli prędko nie dojdzie do bagienka, to albo wyjdzie na brzeg, by go prędzej spotkało, co ma spotkać, lub padnie wśród tych trzcin i utopi się.

Owo bagienko i ujście rzeki wydawało mu się portem zbawienia, choć poprawdzie zaczynały się tam nowe trudności i niebezpieczeństwa.

Bronił się gorączce i szedł, coraz mniej zachowując ostrożności. W jej szumie słyszał Skrzetuski głosy ludzkie, rozmowy; zdawało mu się, że to o nim tak rozprawia ten staw. Dojdzie-li do bagienka, czy nie dojdzie? wylezie, czy nie wylezie? Komary śpiewały nad nim cienkimi głosami coraz żałośniej. Woda stawała się głębsza — wkrótce doszła mu do pasa, a potem do piersi. Więc pomyślał, że jeśli płynąć przyj-

dzie, to się w tej zbitej tkaninie zaplącze i utonie.

I znowu porwała go niepowstrzymana, nieprzeparta chęć wezwania Wołodyjowskiego, i już ręce złożył kolo ust, by zakrzyknąć:

— Michale! Michale!

Na szczęście, jakaś miłosierna trzcina uderzyła go zroszoną, mokrą kiścią w twarz. Oprzytomniał — i ujrzał przed sobą, ale nieco ku prawej stronie, mdłe światełko.

Teraz patrzał już ciągle w to światło, i czas jakiś szedł wytrwale ku niemu.

Nagle zatrzymał się, spostrzegłszy pas czystej wody, lecącej w poprzek. Odetchnął. Była to rzeka, a po obu jej stronach bagienko.

— To już przestanę krążyć brzegiem i zapuszczę się w ten klin — pomyślał.

Z obu stron klinu ciągnęły się dwie smugi trzcin — rycerz zapuścił się tą, do której doszedł. Po chwili poznał, że jest na dobrej drodze. Obejrzał się: staw był już za nim, a on postępował teraz wzdłuż wązkiej taśmy, która nie mogła być czem innem, tylko rzeką.

Woda też tu byla zimniejsza.

Lecz po niejakim czasie owładnęło nim straszne znużenie. Nogi trzęsły mu się, a przed oczyma wstawał jakoby tuman czarny. «Nie może być inaczej, tylko dojdę do brzegu i położę się — myślał; — nie pójdę dalej, odpocznę».

Wtem upadł na kolana i rękoma zmacał kępę suchą, porosłą mchami. Była to jakby wysepka wśród sitowia.

Siadł na niej i począł ocierać rękoma zakrwawioną twarz i przytem oddychać mocno.

Po chwili, do jego nozdrzy doszedł zapach dymu. Odwróciwszy się ku brzegowi, dojrzał o sto kroków od brzegu ogień, a naokoło niego kupkę ludzi.

Był zupełnie nawprost tego ognia i w chwilach, gdy wiatr rozginał trzciny, mógł widzieć wszystko doskonale. Od pierwszego rzutu oka poznał koniuchów tatarskich, którzy siedzieli przy ognisku i jedli.

Wówczas odezwał się w nim straszny głód. Ostatniego rana zjadł kawałek koniny, którym nie nasyciłoby się i dwumiesięczne szczenię wilcze; od tego czasu nie miał nic w ustach.

Więc począł zrywać rosnące obok krągłe łodygi grążeli i wysysał je chciwie. Gasił niemi zarówno głód, jak i pragnienie, bo i pragnienie go trawiło.

Przytem ciągle wpatrywał się w ognisko, które bladło coraz bardziej i mdlało. Ludzie przy niem przesłaniali się jakby mgłą i zdawali się oddalać.

— Aha! sen mnie morzy! Tu usnę, na tej kępie — pomyślał rycerz.

Lecz przy ognisku uczynił się ruch. Koniu-

chowie wstali. Wkrótce do uszu Skrzetuskiego doszły wołania: «Łosz! łosz!» Odpowiedziało im krótkie rżenie. Ognisko opustoszało i przygasło. Po chwili jeszcze rycerz usłyszał gwizdanie i głuchy tupot kopyt po wilgotnej łące.

Skrzetuski nie mógł zrozumieć, czemu to koniuchowie odjeżdżają. Wtem spostrzegł, że kiście trzcin i tarcze grzybienia są jakieś bladawe — woda świeci się inaczej, jak od księżyca, a powietrze przesłania się lekką mgłą.

Obejrzał się — dniało.

Cała noc zeszła mu na okrążaniu stawu, nim doszedł do rzeki i bagienka.

Był zaledwie na początku drogi. Teraz musiał iść rzeką i przedostać się przez tabory za dnia.

Powietrze nasycało się coraz więcej światłem brzasku. Na wschodzie niebo przybrało barwę bladego seledynu.

Skrzetuski spuścił się na nowo z kępy w bagno i dotarłszy po krótkiej przerwie do brzegu, wysadził głowę z trzcin.

W odległości pięciuset może kroków widać było jedną placówkę tatarską, zresztą łąka była pusta, tylko ognisko świeciło opodal na suchem miejscu dogasającym żarem; rycerz postanowił czołgnąć się ku niemu wśród wysokich traw, przerosłych jeszcze tu i owdzie sitowiem.

Doczołgawszy się, szukał pilnie, czy nie znaj-

dzie jakichś resztek żywności. Jakoż znalazł świeżo ogryzione kości baranie, ze szczątkami żył, tłuszczu, oraz kilka sztuk pieczonej rzepy, porzuconych w ciepłym popiele — jął więc jeść z żarłocznością dzikiego zwierza i jadł, póki nie spostrzegł, że placówki porozstawiane na drodze, którą przebył, wracając tą samą łąką ku taborowi, zbliżają się ku niemu.

Wówczas rozpoczął odwrót i po kilku minutach znikł w ścianie trzcin. Odnalazłszy swą kępkę, położył się na niej bez szelestu. Straże tymczasem przejechały. Skrzetuski wziął się natychmiast do kości, które zabrał z sobą, a które poczęły teraz trzaskać w jego potężnych szczękach, jak w wilczych. Ogryzł tłuszcz i żyły, wyssał szpik, zżuł masę kostną — zaspokoił pierwszy głód. Takiej porannej uczty nie miał oddawna w Zbarażu.

Uczuł się teraz silniejszym. Pokrzepiło go zarówno pożywienie, jak i wstający dzień. Robiło się coraz widniej; wschodnia strona nieba z zielonawej stawała się różową i złotą, chłód poranny dokuczał wprawdzie mocno rycerzowi, ale pocieszała go myśl, że wkrótce słońce rozgrzeje jego strudzone ciało. Rozejrzał się dokładnie, gdzie jest. Kępa była dosyć duża, trochę krótka, bo okrągława, ale za to tak szeroka, że dwóch ludzi mogło się na niej z łatwością położyć. Trzciny otaczały ją naokół, jakby

murem, zakrywając zupełnie przed ludzkiemi oczyma.

— Nie znajdą mnie tu, — myślał Skrzetuski — chybaby za rybami chcieli po trzcinach chodzić, a ryb niema, bo od zgnilizny pozdychały. Tu sobie wypocznę i rozmyślę, co dalej czynić.

I począł myśleć, czy ma iść dalej rzeką, czy nie, nakoniec postanowił iść, jeżeli wstanie wiatr i będzie trzciny kołysał; w przeciwnym razie ruch i szelest mogłyby go zdradzić, zwłaszcza, że przyjdzie mu prawdopodobnie przechodzić blizko taboru.

— Dzięki ci Boże, żem żyw dotąd! — szepnął z cicha.

I wzniósł oczy ku niebu, następnie myślą uleciał do polskich okopów. Zamek widać było z owej kępy doskonale, zwłaszcza, że ozłociły go pierwsze promienie wschodzącego słońca. Może tam z wieży spogląda kto na stawy i trzciny przez perspektywę, a już tam Wołodyjowski i Zagłoba pewno cały dzień będą wypatrywali z wałów, czy go nie ujrzą wiszącego na jakiej beluardzie?

— Otóż nie ujrzą! — pomyślał Skrzetuski, i pierś napełniła mu się błogiem uczuciem ocalenia. — Nie ujrzą, nie ujrzą! — powtórzył kilkakrotnie. — Mało zrobiłem drogi, ale trzeba ją było zrobić. Bóg mi pomoże i dalej.

Tu zobaczył się już oczyma imaginacyi za taborami — w lasach, za którymi stoją wojska królewskie: pospolite ruszenie z całego kraju, husarye, piechoty, regimenty cudzoziemskie — ziemia aż jęczy pod ciężarem ludzi, koni i armat, a między tem mrowiem sam Król Jegomość...

Potem ujrzał bitwę niezmierną, rozbite tabory — księcia z całą jazdą, lecącego po stosach trupów, powitanie się wojsk...

Oczy bolące i popuchłe przymykały mu się pod nadmiarem światła, a głowa chyliła się pod nadmiarem myśli. Poczynała go ogarniać jakaś błoga niemoc, wreszcie wyciągnął się całą swą długością i usnął.

Trzciny szumiały. Słońce wytoczyło się wysoko na niebo i ogrzewało gorącem spojrzeniem rycerza, suszyło na nim ubiór — on spał twardo, bez ruchu. Ktoby go spostrzegł tak leżącego na kępie, z okrwawioną twarzą, tenby sądził, że to leży trup, który wyrzuciła woda. Mijały godziny — on spał ciągle. Słońce dobiegło zenitu i poczęło schodzić na drugą stronę nieba — on spał jeszcze. Rozbudził go dopiero kwik przeraźliwy koni, gryzących się na łące i głośne wołanie koniuchów, smagających batami tabunne ogiery.

Przetarł oczy; spojrzał, przypomniał sobie gdzie jest. Spojrzał w górę: na czerwonem od

niedogasłych blasków zachodu niebie migotały gwiazdy — przespał cały dzień.

Skrzetuski nie czuł się wypoczętym, ani silniejszym; owszem, bolały go wszystkie kości. Lecz pomyślał, że właśnie nowy trud przywróci mu rzeźkość ciała — i spuściwszy nogi w wodę, niezwłocznie ruszył w dalszą drogę.

Szedł teraz tuż przy trzcinach, czystą wodą, by szelestem nie zwrócić uwagi pasących na brzegach koniuchów. Ostatnie blaski zgasły, i było dość ciemno, bo księżyc jeszcze się nie ukazał z poza lasów. Woda była tak głęboka, że Skrzetuski tracił miejscami grunt pod nogami i musiał płynąć, co przychodziło mu ciężko, bo był w ubraniu i płynął pod bieg, który jakkolwiek leniwy, pchał go jednak nazad ku stawom. Ale za to najbystrzejsze oczy tatarskie nie mogły dostrzedz tej głowy, posuwającej się wzdłuż ciemnej ściany trzcin. Posuwał się więc dość śmiało, chwilami płynąc, a po większej części brodząc po pas i po pachy, aż wreszcie dotarł do miejsca, z którego oczy jego ujrzały po obu stronach rzeki tysiące i tysiące świateł.

— To tabory — pomyślał: — teraz Boże dopomóż!

I słuchał.

Gwar zmieszanych głosów dochodził do jego uszu. Tak, były to tabory. Po lewym brzegu rzeki, idąc z jej biegiem, stał obóz kozacki ze

swoimi tysiącami wozów, namiotów, po prawym — kosz tatarski, oba gwarne, hałaśliwe, pełne ludzkiego rozhoworu, dzikich dźwięków bębnów i piszczałek, ryku bydła, wielbłądów, rżenia koni, okrzyków. Rzeka przedzielała je, stanowiąc zarazem przeszkodę dla kłótni i zabójstw, bo Tatarzy nie mogli spokojnie stać obok kozaków. Była też w tem miejscu szersza, a może rozkopano ją umyślnie. Ale z jednej strony wozy, z drugiej trzcinowe szałasy dochodziły, miarkując po ogniach, o kilkadziesiąt kroków od brzegów — nad samą zaś wodą stały zapewne straże.

Trzcina i sitowia rzedły — widocznie naprzeciw obozowisk były szczyrkowate brzegi. Skrzetuski posunął się jeszcze kilkadziesiąt kroków — i zatrzymał się. Jakaś potęga i groza szły ku niemu od tych mrowisk.

W tej chwili wydało mu się, że cała czujność i zaciekłość tych tysięcy istot ludzkich zwrócona jest ku niemu, i czuł wobec nich zupełną niemoc, zupełną bezbronność. Był sam jeden.

— Nikt tędy nie przejdzie! — pomyślał.

Lecz posunął się jeszcze naprzód, bo ciągnęła go jakaś niepohamowana, bolesna ciekawość. Chciał bliżej spojrzeć na tę straszliwą potęgę.

Nagle stanął. Las trzcin kończył się, jakby

nożem ucięty. Może też i wycięto je na szałasy. Dalej czysta fala czerwieniła się krwawo od przeglądających się w niej ognisk.

Dwa wielkie i jasne płomienie paliły się tuż nad brzegami. Przy jednym stał Tatar na koniu, przy drugim mołojec z długą spisą w ręku. Obaj patrzali na siebie i na wodę. W dali widać było innych, tak samo stojących na straży i patrzących.

Blaski płomieni rzucały jakoby ognisty most przez rzekę. Pod brzegami widać było szeregi małych łódek, używanych do straży na stawie.

— Niepodobieństwo! — mruknął Skrzetuski.

I nagle chwyciła go rozpacz. Ani iść naprzód, ani się wracać! Oto doba ubiegała, jak tłukł się po błotach i bajorach, oddychał zgniłem powietrzem i mokł w wodzie na to tylko, by, dotarłszy do tych właśnie taborów, przez które przejść się podjął, poznać, że to jest niepodobieństwem.

Lecz i powrót był niepodobieństwem; rycerz wiedział, że może znajdzie dość sił, by wlec się naprzód — nie znajdzie, by się cofać. W rozpaczy jego była zarazem głucha wściekłość; w pierwszej chwili chciał wyjść z wody, zdławić straż, potem rzucić się na tłumy i zginąć.

Wiatr znowu zaszumiał dziwnym szeptem po trzcinach, przynosząc zarazem głos dzwonów ze Zbaraża. Skrzetuski począł modlić się

żarliwie, i bił się w piersi, i wzywał ratunku niebios z siłą i rozpaczliwą wiarą tonącego; on modlił się, a kosz i tabor huczały złowrogo, jakby w odpowiedzi na modlitwę — czarne i czerwone od ognia postacie snuły się, jak stada czortów po piekle; straże stały nieruchomie — rzeka płynęła krwawą wodą.

— Ognie pogaszą, gdy noc głucha nastanie — rzekł sobie Skrzetuski i czekał.

Upłynęła jedna godzina i druga. Gwar zmniejszał się, ogniska istotnie poczęły zwolna przygasać — prócz dwóch strażniczych, które płonęły coraz silniej.

Straże zmieniały się i widocznem było, że tak będą stały aż do rana.

Skrzetuskiemu przeszło przez myśl, że może zdoła łatwiej w dzień się prześliznąć — lecz wnet rozstał się z tą myślą. W dzień brano wodę, pojono bydło, kąpano się — rzeka musiała być pełna ludzi.

Nagle wzrok Skrzetuskiego padł na czółna. Po obu brzegach stało ich po kilkadziesiąt w szeregu, a ze strony tatarskiej sitowia dochodziły aż do pierwszych.

Skrzetuski zanurzył się po szyję w wodę i począł posuwać się zwolna ku nim, mając oczy utkwione, jak w tęczę, w tatarskiego strażnika.

Po upływie pół godziny był tuż tuż pierwszej łódki. Plan jego był prosty. Zadarte tyły

czółen wznosiły się nad wodę, tworząc nad nią rodzaj sklepienia, przez które głowa ludzka mogła się z łatwością przecisnąć. Jeżeli wszystkie czółna stały bokiem do boku tuż obok siebie, strażnik tatarski nie mógł zobaczyć przesuwającej się pod niemi głowy; więcej niebezpieczny był kozacki — ale i ten mógł nie dojrzeć, bo pod czółnami, mimo przeciwległego ognia, panował mrok. Zresztą nie było innej drogi.

Skrzetuski nie wahał się dłużej i wkrótce znalazł się pod tyłami czółen.

Lazł na czworakach, a raczej czołgał się, bo woda była płytka. Był tak blizko stojącego na brzegu Tatara, że słyszał parskanie jego konia. Zatrzymał się przez chwilę i słuchał. Czółna na szczęście były zestosowane bokami. Oczy miał teraz utkwione w kozackiego strażnika, którego widział jak na dłoni. Ale ten patrzał w kosz tatarski. Rycerz minął z piętnaście czółen, gdy nagle usłyszał tuż nad brzegiem kroki i głosy ludzkie. Przyczaił się natychmiast i słuchał. W podróżach do Krymu nauczył się po tatarsku, i teraz dreszcz przebiegł go po całem ciele, gdy usłyszał słowa rozkazu:

— Siadać i jechać!

Skrzetuskiemu zrobiło się gorąco, chociaż był w wodzie. Jeżeli jadący siądą w to czółno, pod którem w tej chwili się ukrywa, to zginął, jeżeli

siądą w które ze stojących na przedzie, to także zginął, bo pozostanie puste, oświecone miejsce.

Każda sekunda wydała mu się godziną. Wtem kroki zadudniały w deski — Tatarzy siedli w czwarte lub piąte czólno tuż za nim, zepchnęli je i poczęli płynąć w kierunku stawu.

Lecz czynność ta zwróciła na czólna oczy kozackiego strażnika. Skrzetuski przez jakie pół godziny ani drgnął. Dopiero gdy straż zmieniono, począł posuwać się dalej.

W ten sposób dotarł do końca czółen. Za ostatniem zaczynały się znów sitowia, a dalej trzciny. Dostawszy się do nich, rycerz, zziajany, spotniały, padł na kolana i dziękował Bogu całem sercem.

Posuwał się teraz nieco śmielej, korzystając ze wszystkich powiewów, które napelniały szumem brzegi. Od czasu do czasu oglądał się za siebie. Ognie strażnicze zaczęły się oddalać, przesłaniać, migotać, słabnąć. Smugi trzcin i sitowia stawały się coraz czarniejsze, gęstsze, bo brzegi były bagnistsze. Straże nie mogły stać blizko — gwar obozowiska słabnął. Jakaś nadludzka siła skrzepiła członki rycerza. Darł się przez trzciny, kępy, zapadał w błota, topił się, płynął i podnosił się znowu. Nie śmiał jeszcze wyjść na brzeg — ale prawie czuł się już ocalony. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, jak długo tak szedł, brnął, ale gdy znów obejrzał

się — ognie strażnicze wydawały się jakby punkciki świecące w dali. Po kilkuset krokach znikły zupełnie. Księżyc wzeszedł; naokoło była cisza. Wtem szum się ozwał większy i poważniejszy, niż szum trzcin. Skrzetuski omal nie krzyknął z radości: las był z obu stron rzeki.

Wówczas skierował się ku brzegom i wychynął z trzcin. Bór sosnowy zaczynał się tuż za sitowiem i trzcinami. Zapach żywicy doszedł do jego nozdrzy. Gdzieniegdzie w czarnych głębiach świeciły jak srebro paprocie.

Rycerz po raz drugi upadł na kolana i ziemię całował w modlitwie.

Był ocalony.

Potem zagłębił się w ciemność leśną, pytając samego siebie: dokąd ma iść? dokąd go zaprowadzą te lasy? gdzie jest król i wojsko?

Droga nie była skończona, nie była łatwa ani bezpieczna, ale gdy pomyślał, że wydostał się ze Zbaraża, że przekradł się przez straże, błota, i tabory, i półmilionowe blizko zastępy nieprzyjaciół — wtedy wydawało mu się, że wszystkie niebezpieczeństwa przeminęły, że ten bór to gościniec jasny, który poprowadzi go wprost do królewskiego majestatu.

I szedł ten nędzarz zgłodniały, zziębły, mokry, uwalany we własnej krwi, w czerwonej rudzie i czarnem błocie — z radością w sercu,

z nadzieją, że wkrótce inaczej, potężniej wróci do Zbaraża.

— Już nie zostaniecie w głodzie i bez nadziei, — myślał o druhach w Zbarażu — bo króla sprowadzę!

I cieszyło się to serce rycerskie blizkim ratunkiem dla księcia, dla regimentarzy, dla wojska, dla Wołodyjowskiego, i Zagłoby, i wszystkich tych bohaterów, zamkniętych w zbaraskim okopie.

Głębie leśne otwierały się przed nim i osłaniały go cieniem.

ROZDZIAŁ LXII.

We dworze toporowskim, w bawialnej komnacie, siedziało wieczorem trzech panów, zamkniętych na tajemnej rozmowie. Kilka świec jarzęcych paliło się na stole pokrytym kartami, przedstawiającemi okolicę, obok nich leżał wysoki kapelusz z czarnem piórem, perspektywa, szpada z perłową rękojeścią, na którą narzucona była koronkowa chustka, i para łosiowych rękawiczek. Za stołem, w wysokiem poręczowem krześle siedział człowiek, mający lat około czterdziestu, dość drobny i szczupły, ale silnie zbudowany. Twarz miał śniadą, żółtawą, zmęczoną, czarne oczy i takąż szwedzką perukę, z długimi lokami, spadającymi na plecy i ramiona.

Rzadki, czarny wąs, zaczesany przy końcach ku górze, zdobił jego górną wargę, dolna zaś, wraz z brodą, wystawała silnie naprzód, nadając całej fizyognomii charakterystyczny rys lwiej odwagi, dumy i uporu. Nie była to twarz piękna, ale wysoce niepospolita. Wyraz zmysłowy, oznaczający skłonność do uciech, łączył się w niej w dziwny sposób z pewną senną martwotą i chłodem. Oczy były jakby przygasłe, ale odgadywałeś łatwo, że w chwili uniesienia, wesołości lub gniewu mogły rzucać błyskawice, które nie każdy wzrok zdołałby wytrzymać. Jednocześnie malowała się w nich dobroć i łagodność.

Czarny ubiór, złożony z atłasowego kaftana i koronkowej kryzy, z pod której wyglądał złoty łańcuch, podnosił dystynkcyę tej niezwykłej postaci. Wogóle, mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było w niej coś majestatycznego. Jakoż był to sam król, Jan Kazimierz Waza, niespełna od roku następca po bracie Władysławie.

Nieco za nim, w półcieniu, siedział Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński, człowiek nizki, gruby, rumiany, z tłustą i bezczelną twarzą dworaka, a naprzeciwko za stołem trzeci pan, wsparty na łokciu, patrzał w karty przedstawiające okolice, podnosząc od czasu do czasu wzrok na króla.

Oblicze jego miało w sobie mniej majestatu, ale prawie więcej jeszcze urzędowej godności, niż królewskie. Była to poorana troskami i myślą, chłodna i rozumna twarz męża stanu, której surowość nie psuła nadzwyczajnej piękności. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku delikatną; polski wspaniały strój, szwedzka strzyżona broda i wysoki chochół nad czołem, dodawały jeszcze jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysom, senatorskiej powagi.

Był to Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i książę Rzymskiego państwa, mówca i dyplomata, podziwiany przez dwory europejskie, sławny przeciwnik Jeremiego Wiśniowieckiego. Nadzwyczajne jego zdolności wcześnie zwróciły nań uwagę poprzednich panowań i wcześnie wyniosły go do najwyższych urzędów, na mocy których sterował całą nawą państwową, w obecnej chwili blizką ostatecznego rozbicia.

A jednak kanclerz był jakby stworzony na sternika takiej nawy. Pracowity, wytrwały, rozumny, patrzący w dalszą przyszłość, obrachowywujący na długie lata, wiódłby każde inne państwo, z wyjątkiem Rzeczypospolitej, do bezpiecznej przystani, pewną i spokojną ręką; każdemu innemu zapewniłby siłę wewnętrzną i długie lata potęgi... — gdyby tylko był samowładnym ministrem takiego naprzykład monarchy, jak król francuski lub hiszpański.

Wychowany poza granicami kraju, wpatrzony w obce wzory, mimo całej wrodzonej bystrości i rozumu, mimo długoletniej praktyki, nie mógł przywyknąć do bezsilności rządu w Rzeczypospolitej i nie nauczył się z nią przez całe życie rachować, chociaż to była skała, o którą rozbiły się wszystkie jego plany, zamiary, usiłowania — choć z jej przyczyny teraz już widział w przyszłości przepaść i ruinę, a później umierał z rozpaczą w sercu.

Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem — i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, szedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teoryi zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski.

Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nietylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundyom, nadużyciom, swawoli szlacheckiej, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa.

Wstał ze stepów Chmielnicki i urósł w olbrzyma. Na Rzeczpospolitą zwaliły się klęski Żółtych Wód, Korsunia, Piławiec. Na pierwszym kroku tenże Chmielnicki połączył się z wrogą, krymską potęgą. Grom padał za gromem — po-

zostawała tylko wojna i wojna. Straszliwy żywioł należało przedewszystkiem zgnieść, by módz w przyszłości z niego korzystać — a kanclerz, zapatrzony w swą myśl, jeszcze paktował i zwłóczył — i wierzył jeszcze — nawet Chmielnickiemu!

Siła rzeczy zdruzgotała jego teorye; z każdym dniem okazywało się jaśniej, że skutki usiłowań kanclerskich są wprost oczekiwanym przeciwne — aż wreszcie przyszedł Zbaraż i stwierdził to najdowodniej.

Kanclerz upadał pod brzemieniem zgryzot, goryczy i nienawiści powszechnej.

Więc czynił tak, jak czynią w dniach niepowodzeń i klęsk ludzie, u których wiara w siebie jest silniejsza nad wszelkie klęski: szukał winnych.

Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale, kto z obawy, by skała, leżąca na sklonie góry, nie runęła w przepaść, pragnie ją wtoczyć na wierzch, a nie policzy się z siłami, ten przyśpieszy tylko jej upadek. Kanclerz uczynił więcej i gorzej, bo do pomocy wezwał rwący, straszliwy potok kozaczy, nie bacząc, że pęd jego może tylko podmulić i powyrywać grunt, na którym skała spoczywa.

Więc gdy on szukał winnych — wzajem i na

niego zwracały się wszystkie oczy, jako na sprawcę wojny, klęsk i nieszczęść.

Ale król wierzył w niego jeszcze i wierzył tembardziej, że głos powszechny, nie oszczędzając powagi majestatu — obwiniał i jego samego, na równi z kanclerzem.

Siedzieli więc w Toporowie, strapieni i smutni, nie wiedząc dobrze, co im począć należy, bo przy królu było tylko dwadzieścia pięć tysięcy wojska. Wici rozesłano za późno, i zaledwie część pospolitego ruszenia ściągnęła do tego czasu. Kto był przyczyną tej zwłoki i czy nie była ona jednym więcej błędem upartej polityki kanclerza — tajemnica zaginęła między królem a ministrem — dość, że w tej chwili czuli się obaj bezbronni wobec potęgi Chmielnickiego.

Co ważniejsza jeszcze: nie mieli dokładnych o nim wieści. W obozie królewskim nie wiedziano dotąd, czy chan z całą potęgą znajduje się przy Chmielnickim, czy też towarzyszy tylko kozakom Tuhaj-bej z kilku tysiącami ordy. Było to pytanie tak ważne, jak śmierć lub życie. Z samym Chmielnickim mógłby w ostateczności król popróbować szczęścia, choć i buntowniczy hetman dziesięć razy większą siłą rozporządzał. Urok imienia królewskiego znaczył dla kozaków wiele — więcej może niż tłumy pospolitego ruszenia niesfornej i niewyćwiczonej szlachty — ale jeżeli i chan był obecny,

mierzyć się z taką przemocą było niepodobieństwem.

Tymczasem były najrozmaitsze o tem wieści, a nikt nic nie wiedział dokładnie. Przezorny Chmielnicki skupił się, nie wypuścił ani jednego oddziału mołojców, ani zagonika Tatarów umyślnie, aby król nie mógł dostać języka. Buntowniczy hetman inny miał zamiar — oto zamknąć częścią swych sił konający już Zbaraż, a samemu zjawić się niespodzianie, z całą potęgą tatarską i kozacką, przed królem — otoczyć go wraz z wojskiem i wydać w ręce chana.

Więc nie bez powodu chmura okryła teraz twarz królewską, bo niemasz większej dla majestatu boleści, niż poczucie niemocy. Jan Kazimierz wsparł się bezwładnie o grzbiet krzesła, rękę rzucił na stół i rzekł ukazując karty:

— Na nic to, na nic! Języków mi dostańcie.

— Niczego i ja więcej sobie nie życzę — odparł Ossoliński.

— Czy podjazdy wróciły?

— Wróciły, ale nic nie przywiozły.

— Ani jednego jeńca?

— Tylko chłopów okolicznych, którzy nic nie wiedzą.

— A pan Pełka wrócił? To przecie sławny zagończyk.

— Miłościwy królu! — ozwał się z za krze-

sła starosta łomżyński — pan Pełka nie wrócił i nie wróci, bo poległ.

Nastała chwila milczenia. Król utkwił posępny wzrok w płonące świece i począł bębnić palcami po stole.

— Nie macież żadnej rady?—rzekł wreszcie.

— Czekać! — rzekł poważnie kanclerz.

Czoło Jana Kazimierza pokryło się zmarszczkami.

— Czekać? — powtórzył: — a tam Wiśniowiecki i regimentarze zgorzeją pod Zbarażem!

— Jeszcze czas jakiś wytrzymają — rzekł niedbale Radziejowski.

— Milczałbyś, mości starosto, gdy nie masz nic dobrego do powiedzenia.

— Właśnie, Miłościwy Panie, że mam radę.

— Jaką?

— Posłać kogo, niby dla układów z Chmielnickim, pod Zbaraż. Poseł przekona się, czy chan jest własną osobą i z powrotem powie.

— Nie może być — rzekł król. — Teraz, gdyśmy Chmielnickiego za buntownika ogłosili, i cenę nałożyli na jego głowę, i buławę nad Zaporożem Zabuskiemu oddali, nie przystoi naszej powadze wchodzić z Chmielnickim w rokowania.

— To do chana wysłać — odrzekł starosta.

Król zwrócił pytający wzrok na kanclerza, który podniósł nań swe błękitne, surowe źrenice i po chwili namysłu ozwał się:

— Rada byłaby dobra, ale Chmielnicki bez żadnej wątpliwości posła zatrzyma — i dlatego na nic się to nie przydało.

Jan Kazimierz machnął ręką.

— Widzimy, — rzekł zwolna — że nie macie żadnego sposobu — tedy ja wam mój powiem. Oto każę trąbić wsiadanego i ruszę z całem wojskiem pod Zbaraż. Niechże się dzieje wola Boża! Tam się dowiemy, czy chan jest, czy go niema.

Kanclerz znał niczem niepowstrzymaną odwagę króla i nie wątpił, że to uczynić gotów. Z drugiej strony wiedział z doświadczenia, iż gdy król coś zamierzy i zatnie się w przedsięwzięciu, tedy żadne odmowy nie pomogą. Więc nie sprzeciwiał się odrazu, pochwalił nawet myśl, ale odradzał pośpiech: przekładał królowi, że można to uczynić jutro lub pojutrze — a tymczasem mogą nadejść pomyślne nowiny. Każdy dzień będzie powiększał rozprzężenie między czernią, znękaną klęskami pod Zbarażem i wieścią o zbliżaniu się królewskiem. Bunt może stopnieć od promieni majestatu, jak śnieg od promieni słonecznych — ale trzeba mu dać czas. Król zaś nosi w sobie ocalenie całej Rzeczypospolitej i pod odpowiedzialnością wobec Boga i potomności nie powinien się narażać, tem bardziej, że w razie nieszczęścia, wojska zbaraskie byłyby właśnie zgubione bez ratunku.

— Róbcie co chcecie, bylem miał języka na jutro.

I znów nastała chwila milczenia. W oknie stanął ogromny złoty księżyc, ale w komnacie pociemniało, bo grzyby urosły na knotach świec.

— Która godzina? — pytał król.

— Pólnoc blizko — odrzekł Radziejowski.

— Nie będę spał tej nocy. Obóz objadę, a wy jedźcie ze mną. Gdzie Ubald i Arciszewski?

— W obozie. Pójdę rzec, by konie podano — odpowiedział starosta.

I zbliżył się ku drzwiom. Wtem, w sieni, uczynił się jakiś ruch; słychać było przez chwilę żywą rozmowę, odgłos pośpiesznych kroków, wreszcie drzwi otworzyły się narozcież, i wpadł zdyszany Tyzenhauz, rękodajny dworzanin królewski.

— Miłościwy królu! — zawołał: — przybył towarzysz ze Zbaraża!!

Król zerwał się z krzesła, kanclerz powstał również, i obydwom wyrwał się z ust okrzyk:

— Nie może być!!

— Tak jest! stoi w sieniach.

— Dawaj go sam! — zawołał król, klasnąwszy w dłonie. — Niech umorzy frasunek. Dawaj go sam, na Matkę Najświętszą!

Tyzenhauz zniknął w drzwiach, i po chwili, zamiast niego, zjawiła się w nich jakaś wysoka, nieznana postać.

— Bliżej, mości panie! — wołał król — bliżej! Radzi cię widzimy!

Towarzysz przysunął się aż do stołu, i na jego widok król, kanclerz i starosta łomżyński cofnęli się w zdumieniu. Przed nimi stał jakiś straszny człowiek, a raczej widmo; łachmany, podarte na strzępki, zaledwie okrywały jego wychudłe ciało; twarz miał siną, umazaną błotem i krwią; oczy płonące gorączkowem światłem, czarna rozczochrana broda spadała mu na piersi, zapach trupi rozchodził się od niego naokoło, a nogi tak drżały pod nim, że musiał się o stół wesprzeć.

Król i dwaj panowie patrzali na niego szeroko otworzonemi oczyma. W tej chwili drzwi otworzyły się, i weszła hurma dygnitarzy wojskowych i cywilnych: generałowie Ubald, Arciszewski, podkanclerzy litewski Sapieha, starosta rzeczycki, pan sandomierski. Wszyscy stanąwszy za królem, patrzali na przybysza — król zaś rzekł:

— Ktoś ty?

Nędzarz otworzył usta, chciał mówić, ale skurcz chwycił go za szczękę, broda zaczęła mu drgać i zdołał wyszeptać tylko:

— Ze... Zbaraża!

— Wina mu dajcie! — rzekł jakiś głos.

Podano w mgnieniu oka napełniony kubek — przybysz wypił go z wysileniem. Przez ten czas



Nędzarz otworzył usta, chciał mówić, ale skurcz chwycił go za szczękę i zdołał wyszeptać tylko: ze Zbaraża.

kanclerz zrzucił z siebie delię i okrył nią jego ramiona.

— Możesz teraz mówić? — pytał po niejakim czasie król.

— Mogę — odpowiedział pewniejszym głosem rycerz.

— Ktoś jest?

— Jan Skrzetuski... porucznik husarski...

— W czyjej służbie?

— Wojewody ruskiego.

Szmer rozszedł się po sali.

— Co słychać u was? co słychać? — pytał gorączkowo król.

— Nędza... głód... jedna mogiła...

Król zasłonił oczy.

— Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński! — mówił cichym głosem.

Po chwili znów spytał:

— Długo się możecie trzymać?

— Prochów brak. Nieprzyjaciel w wałach...

— Siła go?

— Chmielnicki... Chan ze wszystkiemi ordami.

— Chan jest?

— Tak...

Nastało głuche milczenie. Obecni spoglądali po sobie — niepewność odmalowała się na wszystkich twarzach.

— Jakżeście mogli wytrzymać? — spytał kanclerz z akcentem wątpliwości.

Na te słowa Skrzetuski podniósł głowę, jakby nowa wstąpiła weń siła, błyskawica dumy przebiegła mu przez twarz i odrzekł nadspodziewanie silnym głosem:

— Dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedmdziesiąt pięć wycieczek...

I znowu nastało milczenie.

Wtem król wyprostował się, wstrząsnął peruką, jak lew grzywą, na żółtawą twarz wystąpiły mu rumieńce, a oczy płomieniały.

— Na Boga! — krzyknął: — dosyć mi tych rad, tego stania, tej zwłoki! Jest chan, czy go niema, przyszło pospolite ruszenie, czy nie przyszło, na Boga! dosyć mi tego! Dziś jeszcze ruszamy pod Zbaraż!

— Pod Zbaraż! pod Zbaraż! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów.

Twarz przybysza rozjaśniła się, jak zorza.

— Miłościwy królu i panie! — rzekł. — Przy tobie żyć i umierać!...

Na te słowa szlachetne serce królewskie zmiękło jak wosk i, nie zważając na wstrętną postać rycerza, pan ścisnął mu głowę rękoma i rzekł:

— Milszyś mi, niżeli inni w atłasach. Na Matkę Najświętszą, mniejszych starostwami nagradzają — jakoż nie będzie to bez nagrody, coś uczynił... Nie przecz! dłużnikiem ci jestem!

A inni zaraz poczęli wykrzykiwać za królem:

— Nie było jeszcze większego rycerza!

— Ten jest i między zbaraskimi najprzedniejszy!

— Nieśmiertelnąś chwałę pozyskał!

— Jakżeś to się przez kozaków i Tatarów przedarł?...

— W błotach się ukrywałem, w trzcinach, lasami szedłem... błądziłem.. nie jadłem.

— Jeść mu dajcie! — krzyknął król.

— Jeść! — powtórzyli inni.

— Okryć go!

— Niech ci jutro konia i szaty dadzą — rzekł znowu król. — Na niczem ci zbywać nie będzie.

Wszyscy prześcigali się, za przykładem króla, w pochwałach dla rycerza. Wnet poczęto go znowu zarzucać pytaniami, na które z największą trudnością odpowiadał, bo osłabienie ogarniało go coraz większe, i ledwie już nawpół był przytomny. Wtem przyniesiono posiłek, a zarazem wszedł ksiądz Cieciszowski, kaznodzieja królewski.

Rozstąpili mu się dygnitarze, bo był to ksiądz wielce uczony, poważany, i słowo jego prawie więcej jeszcze znaczyło u króla, niż kanclerskie, a z ambony wypowiadał, bywało, takie rzeczy, których i na sejmie nie bardzo kto śmiał poruszyć. Otoczono go tedy i poczęto

rozpowiadać, że oto przyszedł towarzysz ze Zbaraża, że tam książę, lubo w głodzie i mizeryi, gromi jeszcze chana, który jest obecny własną osobą, i Chmielnickiego, który przez cały zeszły rok tylu ludzi nie utracił, ilu pod Zbarażem — nakoniec, że król chce ruszać na odsiecz, choćby mu z całem wojskiem zgorzeć przyszło.

Ksiądz słuchał w milczeniu, poruszając wargami i spoglądając co chwila na wynędzniałego rycerza, który jadł przez ten czas, bo mu król nie kazał zważać na swą obecność i sam go jeszcze pilnował, a od czasu do czasu przepijał do niego z małego srebrnego kusztyczka.

— A jakże się zowie ów towarzysz? — spytał wreszcie ksiądz.

— Skrzetuski.

— Czy nie Jan?

— Tak jest.

— Porucznik księcia wojewody ruskiego?

— Tak jest.

Ksiądz wzniósł pomarszczoną twarz w górę i znów modlić się począł, a potem rzekł:

— Chwalmy imię Pana, bo niezbadane są drogi, któremi człowieka do szczęśliwości i spokoju prowadzi. Amen. Ja tego towarzysza znam.

Skrzetuski dosłyszał i mimowoli zwrócił oczy na twarz księdza ale twarz, postać i głos obce mu były zupełnie.

— Więc waszmość to jeden z całego wojska

podjąłeś się przejść przez obozy nieprzyjacielskie? — spytał go ksiądz.

— Poszedł przede mną towarzysz zacny, ale zginął — odpowiedział Skrzetuski.

— Tem większa twoja zasługa, żeś się potem iść ważył. Miarkuję po twojej nędzy, że straszna to musiała być droga. Bóg wejrzał na twą ofiarę, na twą cnotę, na twoją młodość i przeprowadził cię.

Nagle ksiądz zwrócił się do Jana Kazimierza:

— Miłościwy królu, — rzekł — więc to nieodmienne postanowienie W. Królewskiej Mości iść na ratunek księciu wojewodzie ruskiemu?

— Modlitwom waszym, ojcze — odpowiedział król — poruczam ojczyznę, wojsko i siebie, bo wiem, że straszna to impreza, ale już nie mogę pozwolić, aby książę wojewoda zgorzał w tym nieszczęsnym okopie z takiem rycerstwem, jak owo ten towarzysz, który tu jest przed nami.

— Bóg spuści wiktoryą! — zawołało kilkanaście głosów.

Ksiądz wzniósł ręce do góry, i nastała cisza w sali.

— *Benedico vos, in nomine Patris, et Filii et Spiritus sancti.*

— Amen! — rzekł król.

— Amen! — powtórzyły wszystkie głosy.

Spokój rozlał się po stroskanej dotychczas twarzy Jana Kazimierza, i tylko oczy jego rzucały blask niezwykły. Między zgromadzonymi

rozległ się szmer rozmowy o blizkiej wyprawie, bo wielu jeszcze wątpiło, by król mógł wyruszyć natychmiast, on zaś wziął ze stołu szpadę i skinął na Tyzenhauza, by mu ją przypiął.

— Kiedy wasza królewska mość chcesz ruszyć? — pytał kanclerz.

— Bóg zdarzył noc pogodną — odparł król: — konie się nie pogrzeją. Mości strażniku obozowy, — dodał, zwracając się ku dygnitarzom — każ otrąbić wsiadanego.

Strażnik ruszył natychmiast z komnaty. Kanclerz Ossoliński ozwał się z cichą uwagą, że nie wszyscy gotowi, i że wozy nie będą mogły ruszyć przededniem, ale król odparł natychmiast:

— Komu wozy milsze od ojczyzny i majestatu, to niech zostanie.

Sala poczęła się wypróżniać. Każdy śpieszył do swej chorągwi, by ją «na nogi postawić» i do pochodu sprawić. Zostali w komnacie tylko król, kanclerz, ksiądz i pan Skrzetuski z Tyzenhauzem.

— Miłościwy panie, — rzekł ksiądz — czegoście się mieli dowiedzieć od tego towarzysza, toście się już dowiedzieli. Trzeba mu też dać folgę, bo się ledwie trzyma na nogach. Pozwólże mnie Wasza Królewska Mość wziąć go do mojej kwatery i przenocować.

— Dobrze, ojcze — odrzekł król. — Słuszne są żądania. Niech go Tyzenhauz i kto drugi od-

prowadzi, bo sam już pewnie nie zajdzie. Idź, idź, towarzyszu miły, nikt tu lepiej od ciebie na spoczynek nie zarobił. A pamiętaj, żem ci dłużnikiem. O sobie wprzód zapomnę, nim o tobie!

Tyzenhauz chwycił Skrzetuskiego pod ramię i wyszli. W sieniach spotkali starostę rzeczyckiego, który podparł z drugiej strony chwiejącego się rycerza; przodem szedł ksiądz, przed nim zaś pacholik z latarnią. Ale pacholik niepotrzebnie świecił, bo noc była widna, cicha, ciepła. Wielki, złoty księżyc płynął jak korab nad Toporowem. Z majdanu obozowego dochodziły gwar ludzki, skrzypienie wozów i odgłosy trąb, grających pobudkę. Zdala przed kościołem, oświeconym blaskiem miesiąca, widać już było gromady żołnierzy konnych i pieszych. We wsi konie rżały. Ze skrzypieniem wozów łączył się dźwięk łańcuchów i głuchy hurkot armat — gwar wzmagał się coraz bardziej.

— Ruszają już! — rzekł ksiądz.

— Pod Zbaraż... na ratunek... — wyszeptał Skrzetuski.

I niewiadomo czy z radości, czy z trudów przebytych, czy dla obojga razem, zesłabł tak, że Tyzenhauz i starosta rzeczycki prawie go wlec musieli.

Tymczasem, kierując się ku plebanii, weszli między żołnierzy stojących przed kościołem. Były to chorągwie sapieżyńskie i piechota Arci-

szewskiego. Niesprawieni jeszcze do pochodu, stali żołnierze bezładnie, tłocząc się miejscami i zagradzając przejście.

— Z drogi! z drogi! — wołał ksiądz.

— A kto tam szuka drogi?

— Towarzysz ze Zbaraża.

— Czołem mu! czołem! — wołały liczne głosy.

I rozstępowali się zaraz, ale inni tłoczyli się jeszcze bardziej, chcąc widzieć bohatera. I patrzali zdumieni na tę nędzę, na tę twarz straszną, oświeconą blaskiem księżyca — i szeptali do siebie zdumieni:

— Ze Zbaraża, ze Zbaraża...

Z największym trudem doprowadził ksiądz Skrzetuskiego do plebanii. Tam go, wykąpanego, obmytego z błota i krwi, kazał złożyć na łóżku miejscowego plebana, a sam wyszedł natychmiast do wojsk, które ruszały w pochód.

Skrzetuski był nawpół przytomny, ale gorączka nie pozwalała mu usnąć zaraz. Nie wiedział już jednak, gdzie jest i co się stało. Słyszał tylko gwar, tętent, skrzypienie wozów, grzmiący pochód piechoty, krzyki żołnierzy, odgłos trąb — i wszystko zlało się w jego uszach w jeden ogromny szum... «Wojsko idzie» — mruknął sam do siebie... Tymczasem szum ów począł się oddalać, słabieć, niknąć, topnieć... aż wreszcie cisza objęła Toporów.

Wówczas zdawało się Skrzetuskiemu, że razem z łożem leci w jakąś przepaść bez dna...

ROZDZIAŁ LXIII.

Spał dni kilka, a i po przebudzeniu nie opuszczała go jeszcze zła gorączka — i długo jeszcze majaczył, gadał o Zbarażu, o księciu, o staroście krasnostawskim, rozmawiał z panem Michalem i z Zagłobą, krzyczał: «Nie tędy!» na pana Longina Podbipiętę — o kniaziównie tylko ani razu nie wspomniał. Widać było, że ta siła niezmierna, przez którą zamknął w sobie raz na zawsze pamięć o niej, nie opuszcza go nawet w osłabieniu i chorobie. Natomiast zdawało mu się, że widzi nad sobą pucołowatą twarz Rzędziana, zupełnie jak widział ją wówczas, kiedy to książę po konstantynowskiej bitwie wysłał go z chorągwiami pod Zasław, by tam wyścinał kupy swawolne, a Rzędzian zjawił się niespodzianie na noclegu. I ta twarz wprowadzała zamęt do jego myśli, bo mu się majaczyło, że czas stanął w swym biegu i że nic się od owej pory nie zmieniło. Oto jest znowu nad Chomorem i śpi w chacie, a zbudziwszy się, ruszy do Tarnopola odprowadzić chorągwie... Krzywonos, pogromion pod Konstantynowem, uciekł do Chmielnickiego... Rzędzian nadjechał z Huszczy i siedzi

nad nim...Skrzetuski chciałby przemówić, chciałby wydać polecenie pacholikowi, by kazał konie kulbaczyć — ale nie może... I znowu przychodzi mu do głowy, że nie jest nad Chomorem i że przecie od tego czasu było wzięcie Baru — tu pan Skrzetuski zacina się w bólu, i nieszczęsna jego głowa znowu pogrąża się w ciemności. Nic już nie wie, nic nie widzi — lecz po chwili z tej nocy, z tego chaosu wyłania się Zbaraż... oblężenie... Więc nie jest nad Chomorem? A jednak Rzędzian siedzi nad nim, pochyla się ku niemu. Przez serca, wycięte w okiennicach, wpada do izby wiązka jasnego światła i oświeca doskonale twarz pachołka, pełną troskliwości i współczucia...

— Rzędzian! — woła nagle pan Skrzetuski.

— O mój jegomość! że też już jegomość mnie poznał! — wykrzykuje pachołek i przypada do nóg pańskich. — Myślałem, że już jegomość nigdy się nie rozbudzi...

Nastała chwila milczenia — słychać było tylko szlochanie pachołka, który wciąż ściskał nogi pańskie.

— Gdziem jest? — pyta pan Skrzetuski.

— W Toporowie... Jegomość ze Zbaraża do króla Jegomości przyszedł... Chwała Bogu! chwała Bogu!

— A król gdzie jest?

— Poszedł z wojskiem na ratunek księciu wojewodzie.

Nastała znowu chwila milczenia. Łzy radości spływały ciągle po twarzy Rzędziana, który po chwili zaczął powtarzać wzruszonym głosem:

— Że też ja jegomościne ciało jeszcze oglądam...

Potem wstał i otworzył okiennicę, a z nią i okno.

Poranne świeże powietrze wpadło do izby, a z niem i jasne światło dzienne. Z tem światłem wróciła Skrzetuskiemu cała przytomność...

Rzędzian usiadł w nogach łóżka...

— Tom ja ze Zbaraża wyszedł? — pytał rycerz.

— Tak jest, mój jegomość... Nikt tego dokazać nie mógł, czego jegomość dokazał, i z jegomościnej przyczyny król na ratunek poszedł.

— Pan Podbipięta przede mną próbował, ale zginął...

— O dla Boga! Pan Podbipięta zginął? Taki hojny pan i cnotliwy!... Aż mi dech zaparło... Zali oni takiemu mocarzowi mogli dać rady...

— Z łuków go ustrzelili...

— A pan Wołodyjowski i pan Zagłoba?

— Zdrowi byli, jakem wychodził.

— To chwała Bogu. Wielcy to jegomości przyjaciele... Jeno mi ksiądz mówić zakazał...

Rzędzian umilkł i przez czas jakiś pracował

głową. Zamyślenie odbiło się wyraźnie na jego pucołowatem obliczu. Po chwili ozwał się:

— Jegomość?

— A czego?

— A co też się z fortuną pana Podbipięty stanie? Podobno to tam wsi i wszelkiej dobroci bez liku... Zali przyjaciołom czego nie zapisał, bo, jak słyszałem, nie miał rodziny?

Skrzetuski nie odpowiedział nic, więc Rzędzian poznał, że mu nie w smak pytanie, i tak znów mówić począł:

— Ale chwalić Boga, że pan Zagłoba i pan Wołodyjowski zdrowi; myślałem, że ich Tatarzy ogarnęli... Siła my biedy razem przeszli... jeno mi ksiądz mówić zakazał... Ej, mój jegomość, myślałem, że już ich nigdy nie zobaczę, bo nas orda tak przycisnęła, że rady nijakiej nie było.

— Toś ty był z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą? Nic mi o tem nie wspominali.

— Bo i oni nie wiedzieli, czym ocalał, czym zginął...

— A gdzie to was orda tak przycisnęła?

— A za Płoskirowem, w drodze do Zbaraża. Bo my, mój jegomość, daleko aż za Jampol jeździli... jeno ksiądz Cieciszewski mówić zakazał...

Nastała chwila ciszy.

— Niechże wam Bóg zapłaci za wasze chęci i trudy, — rzekł Skrzetuski — bo już wiem,

pocoście tam jeździli. Byłem i ja tam przed wami... napróżno...

— Ej, mój jegomość, żeby nie ten ksiądz... Ale to tak powiada: ja muszę z królem jegomością pod Zbaraż jechać, a ty (powiada do mnie) pana pilnuj, jeno mu nie mów nic, bo dusza z niego wyjdzie.

Skrzetuski tak dalece rozstał się oddawna ze wszelką nadzieją, że i te słowa Rzędziana nie wykrzesały w nim najmniejszej jej iskierki... Czas jakiś leżał nieruchomie, a wreszcie począł pytać:

— Skądżeś ty tu się wziął przy księdzu Cieciszowskim i przy wojsku?

— Mnie pani kasztelanowa sandomierska, pani Witowska, wysłała z Zamościa z oznajmieniem do pana kasztelana, że się w Toporowie z nim połączy... Mężna to jest pani, mój jegomość, i chce koniecznie przy wojsku być, byle się z panem kasztelanem nie rozłączać... Więc ja do Toporowa przyjechałem na dzień przed jegomością. Pani sandomierskiej rychło patrzeć... powinnaby już być... ale cóż, kiedy on znowu z królem odjechał!...

— Nie rozumiem, jakżeś ty mógł być w Zamościu, kiedyś z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą za Jampol jeździł. Czemuś to do Zbaraża z nimi nie przyjechał?

— Bo widzi jegomość, jak nas orda wsparła,

tak już nie było żadnej rady; więc oni się we dwóch całemu czambułowi zastawili, a ja uciekłem i oparłem się dopiero w Zamościu.

— Szczęście, że nie zginęli — rzekł Skrzetuski; — ale myślałem, żeś lepszy pacholek. Zali godziło ci się opuszczać ich w takiej opresyi?

— Ej, mój jegomość, żeby to my byli sami, we trzech, pewnobym ja ich nie opuścił, bo mi się serce krajało... aleśmy we czworo byli... więc oni rzucili się na ordę, a mnie sami kazali... ratować... Żebym to ja był pewny, że jegomości radość nie zabije... bo to my za Jampolem... znaleźli... ale że ksiądz...

Skrzetuski począł patrzeć na pachołka i mrugać oczyma, jak człowiek, który budzi się ze snu; nagle, rzekłbyś, zerwało się coś w nim, bo pobladł strasznie, siadł na łożu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Kto z tobą był?

— Jegomość! hej, jegomość! — wołał pachołek, przerażony zmianą, jaka zaszła w twarzy rycerza.

— Kto z tobą był? — krzyczał Skrzetuski i, chwyciwszy za ramiona Rzędziana, trząść nim począł, i sam trząsł się jak w febrze, i gniótł pachołka w żelaznych rękach.

— To już powiem! — wołał Rzędzian -- niech ksiądz robi co chce: panna z nami była, a teraz jest przy pani Witowskiej.

Skrzetuski zesztywniał, zamknął oczy, i głowa jego opadła ciężko na poduszki.

— Rety! — wołał Rzędzian. — Pewno jegomość ostatnią parę puścił! Rety, com ja uczynił!... lepiej mi było milczeć. O dla Boga! jegomość najdroższy, niechno jegomość przemówi... Dla Boga! słusznie ksiądz zakazywał... jegomość! hej, jegomość!...

— Nic to! — ozwał się wreszcie Skrzetuski. — Gdzie ona jest?

— Chwała Bogu, że jegomość odżył!... Lepiej już nic nie powiem. Jest z panią kasztelanową sandomierską... rychło ich tu patrzeć... Chwała Bogu!... niech-no już jegomość nie umiera... rychło ich tu patrzeć... my do Zamościa uciekli... i tam ksiądz oddał pannę pani Witowskiej... dla przystojności... że to w wojsku swawolnicy bywają... Bohun ją uszanował, ale o przygodę nie trudno... Siła ja miałem kłopotów, tylko żem to żołnierzom mówił: Księcia Jeremiego krewna!»... więc szanowali... Wydałem też na drogę niemało...

Skrzetuski znowu leżał nieruchomie, ale oczy miał otwarte, do pułapu wzniesione, i twarz bardzo poważną — widać modlił się. Gdy skończył, zerwał się, siadł na łożu i rzekł:

— Szaty mi daj i każ konie kulbaczyć!

— A gdzie to jegomość chce jechać?

— Szaty prędzej daj!

— Jakby jegomość wiedział, że wszelakiego ochędóstwa jest dosyć, bo i król przed odjazdem nadawał, i różni panowie nadawali. I trzy koniki bardzo foremne w stajni. Żebym to choć jednego takiego miał!... ale lepiej jeszcze jegomości poleżeć i wypocząć, bo siły w jegomości żadnej niema.

— Nic mi nie jest. Na konia mogę siadać. Na Boga żywego, pośpiesz się!

— Wiem ja to, że jegomościne ciało z żelaza — niechże i tak będzie. Tylko mnie jegomość przed księdzem Cieciszowskim obroni... Oto szaty tu leżą... lepszych i u bławatników ormiańskich nie dostanie... Niech się jegomość ubiera, a ja powiem, iżby polewki winnej przynieśli, bom też już sobie kazał księżemu słudze uwarzyć.

To rzekłszy, Rzędzian zakrzątnął się koło strawy, a Skrzetuski począł śpiesznie przywdziewać szaty, zostawione w darze przez króla i panów. Tylko raz w raz chwytał pachołka w ramiona i cisnął go do wezbranej piersi, a zaś pachołek opowiadał mu wszystko *ab ovo*, jako Bohuna posieczonego przez pana Michała, ale już podleczonego, we Włodawie spotkał i jako się od niego o kniaziównie wywiedział i piernacz uzyskał. Jak potem poszli z panem Michałem i panem Zagłobą do waładynieckich jarów i, ubiwszy wiedźmę i Czeremisa, kniaziównę

uwieźli, a wreszcie jak wielkie spotykały ich niebezpieczeństwa, gdy przed wojskami Burłaja uciekali.

— Burłaja pan Zagłoba usiekł — wtrącił gorączkowo Skrzetuski.

— Bitny to jest mąż, — odpowiedział Rzędzian — jeszczem też takiego nie widział, bo to jeden bywa mężny, drugi mowny, trzeci frant, a w panu Zagłobie wszystko w kupie siedzi. Ale najgorzej to już nam było, mój jegomość, w tych lasach za Płoskirowem, gdy nas orda wsparła. Pan Michał z panem Zagłobą zostali, by ich na siebie ściągnąć i pogoń wstrzymać, ja zaś rzuciłem się w bok ku Konstantynowu, Zbaraż omijając, bo już takem myślał, że zabiwszy pana małego i pana Zagłobę, będą właśnie ku Zbarażowi za nami gnali. Jakoż nie wiem, jakim tam sposobem Bóg w miłosierdziu swojem wyratował pana małego i pana Zagłobę... Myślałem, że ich usieką. My tymczasem umykali z panną między Chmielnickim, który od Konstantynowa ciągnął, a Zbarażem, pod który Tatarzy poszli.

— Nie poszli oni tam zaraz, bo ich pan Kuszel wyparł. Ale mów prędzej!

— Żebym ja to był wiedział, alem nie wiedział, więceśmy przeciskali się z panną między Tatary i kozaki, jak wąwozem. Szczęściem, kraj był pusty, tak, że nigdzieśmy żywego człeka nie

spotkali: ni we wsiach, ni w miasteczkach, bo wszystko pouciekało, gdzie kto mógł, przed Tatarami. Ale dusza mi na ramieniu siedziała ze strachu, żeby to mnie nie ogarnęli, czegom też w końcu nie uniknął.

Skrzetuski przestał się ubierać i spytał:

— Jak to?

— A tak, mój jegomość: wpadłem na podjazd kozacki Dońca, brata onej Horpyny, u której panna w jarze siedziała. Szczęściem, znałem go dobrze, bo mnie przy Bohunie widywał. Pokłoniłem mu się od siostry, pokazałem piernacz Bohunów i opowiedziałem wszystko: jako mnie Bohun po pannę posłał i jako mnie czeka za Włodawą. A on, że to był Bohunowi przyjacielem i wiedział o tem, że siostra panny strzeże, więc uwierzył. Myślałem, że puści i jeszcze opatrzy na drogę: ale on powiada tak: «Tam (powiada) pospolite ruszenie się zbiera, jeszcze wpadniesz w ręce Lachom; zostań, powiada, ze mną, pojedziemy do Chmielnickiego; w obozie będzie dziewczynie najbezpieczniej, bo jej tam sam Chmielnicki będzie dla Bohuna strzegł». Jak mi to powiedział, ażem zmartwiał, bo co tu na to odrzec? Mówię tedy, że Bohun na nią czeka i że szyja moja w tem, żebym ją zaraz odwiózł. A on na to: «To damy znać Bohunowi — a ty nie jedź, bo tam Lachy». Zacząłem się spierać, on też się spierał ze mną, aż wreszcie

rzecze: «Dziwno mi to, że się tak boisz między kozaków iść — ej! czyś nie zdrajca!» Dopiero zobaczyłem, że niema innej rady, tylko nocą umykać, bo już zaczął mnie podejrzewać. Siódme poty na mnie biły, mój jegomość. Jużem tedy wszystko gotował do drogi, gdy pan Pełka od wojsk królewskich w nocy nadszedł.

— Pan Pełka? — rzekł, wstrzymując dech, Skrzetuski.

— A jakże, mój jegomość. Sławny to był zagończyk, pan Pełka, który niedawno poległ — Panie świeć nad jego duszą! — Nie wiem, czyby kto lepiej potrafił od niego podjazd prowadzić i pod potęgą nieprzyjacielską się uwijać — chyba jeden pan Wołodyjowski. Owóż przyszedł pan Pełka, podjazd Dońcowy starł, że i noga nie uszła, a samego Dońca wziął do niewoli. Parę niedziel temu, jak go na pal wołami nawlekli — dobrze mu tak! Ale i z panem Pełką miałem biedy niemało, bo to był człek okrutnie na cnotę zawzięty... Panie świeć nad jego duszą! Jużem się bał, aby panna, uszedłszy krzywdy od kozaków, nie doznała gorszej od swoich... Dopierom powiedział panu Pełce, że to księcia naszego pana krewna. A on, trzeba jegomości wiedzieć, że jak naszego księcia, bywało, wspomniał, to czapkę zdejmował i na służbę się do niego zawsze wybierał... Więc zaraz zaczął pannę szanować i aż het do Zamościa, do króla

nas odprowadził, a tam ksiądz Cieciszowski (bardzo to święty ksiądz, mój jegomość) w opiekę nas wziął i pani kasztelanowej Witowskiej pannę oddał.

Skrzetuski odetchnął głęboko, poczem rzucił się na szyję Rzędziana.

— Przyjacielem mi będziesz, bratem, nie sługą, — rzekł — ale teraz już jedźmy. Kiedy pani kasztelanowa miała tu stanąć?

— W tydzień po mnie — a już dziesięć dni jest... a ośm jegomość bez przytomności leżał.

— Jedźmy, jedźmy! — powtórzył Skrzetuski — bo mnie radość rozerwie.

Lecz nim skończył, dał się slyszeć tętent na podwórzu, i okna zaćmiły się nagle końmi i ludźmi. Przez szyby dojrzał pan Skrzetuski naprzód starego księdza Cieciszowskiego, a przy nim wychudzone twarze pana Zagłoby, Wołodyjowskiego, Kuszla i innych znajomych, wśród czerwonych dragonów książęcych. Rozległ się wesoly okrzyk, a po chwili hurma rycerzy z księdzem na czele wpadła do izby.

— Pokój zawarty pod Zborowem, oblężenie zdjęte! — wołał ksiądz.

Lecz Skrzetuski domyślił się zaraz tego na sam widok towarzyszów zbaraskich, a teraz był już w objęciach Zagłoby i Wołodyjowskiego, którzy odbierali go sobie wzajemnie.

— Powiedzieli nam, żeś żyw, — krzyczał

Zagłoba — ale tem większa radość, że cię tak rychło i w zdrowiu oglądamy! Umyślnieśmy tu po ciebie przyjechali... Janie! ani wiesz jakąś się sławą okrył — i jaka cię nagroda czeka!

— Król nagrodził, — rzekł ksiądz — ale król królów więcej obmyślił.

— Wiem już — odparł Skrzetuski. — Niech was Bóg nagrodzi! Rzędzian wszystko mi wyznał.

— I radość cię nie zadusiła? to i lepiej! *Vivat* Skrzetuski! *vivat* kniaziówna! — krzyczał Zagłoba. — A co Janie! nie pisnęliśmy ci o niej ani słowa, bośmy nie wiedzieli, czy żywa. Ale pachołek gracko z nią umykał. O *vulpes astuta!* książę czeka na was oboje... Ha! aż pod Jahorlik jeździliśmy po nią. Zabiłem monstrum piekielne, które jej strzegło. Uciekało przed wami tych dwunastu chłopczysków, ale teraz ich dogonicie i przegonicie. Będę miał wnuki, mości panowie! Rzędzian, mów, zali wielkich przeszkód nie doznałeś? Imaginuj sobie, że całą ordę wstrzymaliśmy we dwóch z panem Michałem! Pierwszym się rzucił na cały czambuł! W wykroty się przed nami chowali — nic nie pomogło! Pan Michał też dobrze stawał... Gdzie moja córuchna? Dajcie mi moją córuchnę!

— Niech ci Bóg szczęści, Janie! niech ci Bóg szczęści! — mówił mały rycerz, biorąc ponownie w ramiona Skrzetuskiego.

— Niech wam Bóg zapłaci za wszystko, coście dla mnie uczynili. Słów mi nie staje. Życiem, krwią wam nie nagrodzę! — odpowiedział Skrzetuski.

— Mniejsza z tem! — wołał Zagłoba. — Pokój zawarty! kiepski pokój, mości panowie, ale trudno. Dobrze, żeśmy ten zapowietrzony Zbaraż opuścili. Będzie teraz spokój, mości panowie. Nasza to praca i moja, bo gdyby Burłaj żył dotąd, na nicby się układy nie zdały. Na weselisko pojedziem. Dalej, Janie! Trzymaj się ostro! Ani się domyślasz, jaki książę pan ma dla cię prezent ślubny! Innym razem ci powiem, a teraz gdzie moja córuchna u kaduka? Dawajcie tu moją córuchnę! Już jej Bohun nie porwie: pierwej musiałby łyka porwać! Gdzie moja córuchna najmilsza?

— Właśniem na koń siadał, by jechać naprzeciw pani sandomierskiej — rzekł Skrzetuski. — Jedźmy, jedźmy, bo rozum stracę.

— Hajda, mości panowie! Jedźmy z nim razem. Czasu nie tracić! Hajda!

— Pani sandomierska nie musi być daleko — rzekł ksiądz.

— Jazda! — dodał pan Michał.

Ale Skrzetuski już był za drzwiami i skoczył na konia tak lekko, jakby nie dopiero co z łoża boleści powstawał. Rzędzian trzymał się jego boku, bo wolał z księdzem sam na sam nie

zostawać. Pan Michał i Zagłoba przyłączyli się do nich — i jechali co koń wyskoczy na czele gromady, a cała gromada szlachty i czerwonych dragonów leciała toporowiecką drogą, nakształt kraśnych płatków maku, które wiatr niesie.

— Hajda! — krzyczał Zagłoba, bijąc piętami konia.

I tak lecieli z dziesięć stajań, aż na skręcie gościńca ujrzeli tuż przed sobą szereg wozów i kolasek, otoczony przez kilkudziesięciu pajuków; kilku z nich, widząc naprzeciw zbrojnych ludzi, ruszyło zaraz z kopyta pytać, coby byli za jedni?

— Swoi! od królewskiego wojska! — krzyknął pan Zagłoba. — A to kto jedzie?

— Pani kasztelanowa sandomierska! — brzmiała odpowiedź.

Skrzetuskiego tak przybiło wzruszenie, iż sam nie wiedząc co czyni, zsunął się z konia i stanął, chwiejąc się, na boku gościńca. Czapkę zdjął, a po skroniach spływał mu pot obfity, i drżał ten rycerz przed szczęściem na całem ciele. Pan Michał zeskoczył również z kulbaki i chwycił w ramiona osłabłego rycerza.

Za nimi stanęli wszyscy na boku gościńca z poodkrywanemi głowami, a tymczasem szereg wozów i kolasek nadciągnął i począł przechodzić mimo. Z panią Witowską jechało kilkana-

ście różnych pań, które patrzały ze zdziwieniem na rycerzy, nie rozumiejąc, co ma znaczyć ta żołnierska procesya przy gościńcu.

Aż wreszcie w środku orszaku ukazała się kolaska ozdobniejsza od innych; oczy rycerzy ujrzały przez jej otwarte okna poważne oblicze sędziwej damy, a obok niej słodką i śliczną twarz Kurcewiczówny.

— Córuchna! — wrzasnął Zagłoba, rzucając się naoślep ku karecie — córuchna! Skrzetuski jest z nami!... Córuchna!

W orszaku poczęto wołać: «Stój! stój!» uczynił się ruch i zamieszanie; tymczasem Kuszel z Wołodyjowskim prowadzili, a raczej wlekli Skrzetuskiego do karety, on zaś osłabł zupełnie i ciążył im coraz bardziej. Głowa zwisła mu na piersi, i nie mógł już iść, i opadł na kolana przy stopniach kolaski.

Lecz w chwilę później silne a słodkie ramiona Kurcewiczówny podtrzymywały osłabłą i wynędzniałą głowę rycerza.

Zagłoba zaś, widząc zdumienie pani sandomierskiej, wołał:

— To Skrzetuski, bohater ze Zbaraża! On to się przedarł przez nieprzyjaciół, on ocalił wojska, księcia, całą Rzeczpospolitą! Niech im Bóg błogosławi i niech żyją!

— Niech żyją! *vivant! vivant!* — wołała szlachta.



Silne a słodkie ramiona Kurcewiczówny podtrzymywały osłabłą głowę rycerza.

— Niech żyją! — powtórzyli książęcy dragoni, aż grzmot rozległ się po toporowieckich polach.

— Do Tarnopola! do księcia! na wesele! — wykrzykiwał Zagłoba. — A co córuchna? skończona twoja niedola!... a dla Bohuna kat i miecz! Ksiądz Cieciszowski oczy miał podniesione do nieba, a usta jego powtarzały cudne słowa natchnionego kaznodziei:

— «Siejba była w płakaniu, a żniwo w weselu»...

Usadzono Skrzetuskiego w karecie obok kniaziówny — i orszak ruszył dalej. — Dzień był cudny, pogodny, dąbrowy i pola pławiły się w świetle słonecznem. Nizko po ugorach, i wyżej nad ugorami, i jeszcze wyżej w błękitnem powietrzu, płynęły już tu i owdzie srebrne nitki pajęczyny, które późniejszą jesienią jakoby śniegiem pokrywają tamtejsze pola. I spokój był wielki naokoło, jeno konie parskały raźno w orszaku.

— Panie Michale! — mówił Zagłoba, trącając strzemieniem w strzemię Wołodyjowskiego: — coś mnie znowu ułapiło za grzdykę i trzyma, jak to wówczas, kiedy pan Podbipięta — wieczny mu odpoczynek! — wychodził ze Zbaraża: ale gdy pomyślę, że się tych dwoje wreszcie znalazło, to tak mi lekko na sercu, jakbym kwartę petercymentu duszkiem wypił! Jeśli

i ciebie małżeńska przygoda nie spotka, to na starość będziem ich dzieci hodowali. Każdy do czego inszego się rodzi, panie Michale, a my dwaj lepsi chyba do wojny, niż do żeniaczki.

Mały rycerz nie odpowiedział nic, jeno począł wąsikami mocniej niż zwykle ruszać.

Jechali do Toporowa, a stamtąd do Tarnopola, gdzie się mieli z księciem Jeremim połączyć i razem z jego chorągwiami do Lwowa na wesele ruszyć. Przez drogę opowiadał Zagłoba pani sandomierskiej, co się w ostatnich czasach stało. Dowiedziała się więc, że król po nierozstrzygniętej, morderczej bitwie pod Zborowem, zawarł układ z chanem, niezbyt pomyślny, ale zapewniający przynajmniej spokój na czas jakiś Rzeczypospolitej. Chmielnicki na mocy układu pozostał nadal hetmanem i miał prawo z niezmiernych tłumów czerni wybrać sobie czterdzieści tysięcy regestrowych, a za to ustępstwo zaprzysiągł wierność i posłuszeństwo królowi i stanom.

— Niechybna to jest rzecz, — mówił Zagłoba — że z Chmielnickim znowu przyjdzie do wojny, ale jeśli tylko buława naszego księcia nie minie, inaczej to wszystko pójdzie...

— Powiedz-że waćpan Skrzetuskiemu najważniejszą rzecz — rzekł, zataczając bliżej koniem, mały rycerz.

— Prawda — rzekł Zagłoba. — Chciałem

zaraz od tego zacząć, aleśmy tchu dotąd złapać nie mogli. Nic nie wiesz, Janie, co się po twojem wyjściu stało: że Bohun jest u księcia w niewoli.

Skrzetuski i Kurcewiczówna zdumieli na tę niespodziewaną wiadomość do tego stopnia, że słowa wyrzec nie mogli — tylko ona ręce otworzyła — i nastała chwila milczenia poczem dopiero Skrzetuski spytał:

— Jak to? jakim sposobem?

— Palec w tem boży — odpowiedział Zagłoba; — nic innego, jeno palec boży. Układ już był zawarty, i wychodziliśmy właśnie z tego zapowietrzonego Zbaraża, a książę wybiegł z jazdą na lewe skrzydło, pilnować, by orda na wojsko nie napadła... że to oni często układów nie dotrzymują... Wtem nagle wataha z trzystu koni rzuciła się na całą jazdę książęcą.

— Jeden Bohun mógł taką rzecz uczynić! — zawołał Skrzetuski.

— On też to był. Ale nie na zbaraskich żołnierzów kozakom się porywać! Pan Michał wnet otoczył ich i wysiekł do nogi, a Bohun, dwa razy przez niego cięty, poszedł w łyka. Nie ma on szczęścia do pana Michała, i sam się już musiał o tem przekonać, gdyż właśnie do trzech razy próbował. Ale on też nie czego innego, jeno śmierci szukał.

— Pokazało się, — dorzucił pan Wołody-

jowski — że chciał Bohun zdążyć koniecznie z pod Waładynki do Zbaraża, wszelako, że to droga długa, więc nie zdążył, i gdy się dowiedział, że już pokój zawarty, rozum mu się od wściekłości pomieszał, i na nic już nie zważał.

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, bo taka to już jest fortuny odmienność — rzekł Zagłoba. — To jest szalony kozak i tem szaleńszy, że desperat. Okrutna wrzawa podniosła się z jego powodu między nami i między hultajstwem. Myśleliśmy, że do wojny nanowo przyjdzie, bo książę pierwszy zakrzyknął, że układy złamali. Chmielnicki chciał było Bohuna ratować, ale chan się na niego zawziął, że to powiada: «Moje słowo i moją przysięgę na hańbę podał». I Chmielnickiemu chan wojną zagroził, a do naszego księcia przysłał czausa z oznajmieniem, że Bohun jest prywatny zbój — i z prośbą, żeby książę sprawy z tego nie czynił, a z Bohunem postąpił jak ze zbójem. Podobno też i o to chodziło chanowi, żeby Tatarzy jasyr mogli spokojnie odprowadzić, którego tyle nabrali, że za dwa hufnale chłopa będzie można w Stambule kupić.

— Cóż książę uczynił z Bohunem? — pytał niespokojnie Skrzetuski.

— Kazał, było, książę zaraz palik dla niego zastrugać, ale się potem rozmyślił i tak powiada: «Skrzetuskiemu go daruję, niechże z nim czyni,

co chce. Teraz w Tarnopolu kozaczysko w podziemiu siedzi; cyrulik mu łeb opatruje. Mój Boże, ileż to razy dusza już powinna była z niego uciec! Żadnemu wilkowi psi tak skóry nie natarmosili, jako my jemu. Sam pan Michał trzy razy go pokąsał. Ale twarda to sztuka, choć i prawdę rzekłszy, człek nieszczęsny. Niech mu tam kat świeci! Nie mam ja już do niego rankoru, pomimo iż okrutnie na mnie nastawał, a niewinnie, bo i pijałem z nim, pospolitowałem się jak z równym, póki na cię, córuchno, ręki nie podniósł. Mogłem go też pchnąć w Rozłogach... Ale to już z dawna wiem, że niemasz żadnej wdzięczności na świecie i mało kto dobrem za dobre płaci. Niech go tam!...

Tu pan Zagłoba począł kiwać głową...

— A ty co z nim uczynisz, Janie? — spytał. — Żołnierze mówią, że forysia z niego zrobisz, bo chłop pokaźny, ale nie chce mi się wierzyć, żebyś tak właśnie postąpił.

— Z pewnością tego nie uczynię — odrzekł Skrzetuski. — Wielkiej to jest fantazyi żołnierz, a że nieszczęsny, tembardziej go żadną chłopską funkcyą nie pohańbię.

— Niech mu Bóg wszystko odpuści — rzekła kniaziówna.

— Amen! — dodał Zagłoba. — Prosi on śmierci, jako matki, by go zabrała... i pewnie byłby ją znalazł, gdyby się był pod Zbaraż nie spóźnił.

Zamilkli wszyscy, nad dziwnemi zmianami fortuny rozmyślając, aż w oddaleniu ukazała się Grabowa, w której zatrzymali się na pierwszy popas. Zastali tam huk żołnierzy, wracających ze Zborowa. Przyjechał i pan kasztelan sandomierski, Witowski, który szedł z pułkiem na spotkanie żony, i pan starosta krasnostawski, i pan Przyjemski, i moc szlachty z pospolitego ruszenia, której tędy droga do domostw wypadała. Dwór w Grabowej był spalony, również jak i wszystkie inne budynki, ale że dzień był cudny, cichy i ciepły, więc nie szukając dachu nad głową, wszyscy rozłożyli się w dąbrowie pod gołem niebem. Przywieziono też i znaczne zapasy jadła i napitków, więc czeladź zaraz wzięła się żywo do przyrządzenia wieczerzy. Pan sandomierski kazał rozbić kilkanaście namiotów w dąbrowie dla niewiast i dygnitarzy, i stanął jakby obóz prawdziwy. Rycerstwo kupiło się przed namiotami, chcąc się na kniaziównę i Skrzetuskiego napatrzyć. Inni rozmawiali o minionej wojnie; ci, co nie byli pod Zbarażem, jeno pod Zborowem, wypytywali żołnierzy książęcych o szczegóły oblężenia — i gwarno było i wesoło, zwłaszcza, że Bóg zdarzył dzień tak piękny.

Wodził więc rej pan Zagłoba między szlachtą, opowiadając po raz tysiączny, jak to Burłaja zabił, a Rzędzian między czeladzią, która

ucztę przygotowywała. Wszelako upatrzył zręczny pachołek stosowną chwilę i, odciągnąwszy Skrzetuskiego kęs na stronę, schylił mu się do nóg pokornie.

— Mój jegomość, — rzekł — chciałbym i ja o łaskę jegomości prosić.

— Trudnoby mi było odmówić ci czegokolwiek, — odpowiedział pan Skrzetuski — gdyż przez ciebie wszystko co najlepsze się stało.

— Zaraz ja też myślałem, — rzekł pachołek — że mi jegomość jakowąś nagrodę obmyśli.

— Mów: czego chcesz?

Pucołowata twarz Rzędziana pociemniała, a z oczu strzeliła mu nienawiść i zawziętość.

— Jednej łaski proszę, niczego więcej nie chcę: — rzekł — niechże mi jegomość Bohuna daruje.

— Bohuna? — rzekł ze zdziwieniem pan Skrzetuski. — Cóż ty chcesz z nim uczynić?

— Już ja, mój jegomość, pomyślę, żeby moje nie przepadło i żeby mu z lichwą zapłacić za to, że mnie w Czehrynie pohańbił. Wiem, że jegomość każe go pewnikiem zgładzić — niechże ja mu pierwej zapłacę!

Brwi Skrzetuskiego ściągnęły się.

— Nie może to być! — rzekł stanowczo.

— O dla Boga! wolałbym był zginąć! — zawołał żałośnie Rzędzian. — Na tożem wyżył, by hańba do mnie przyrosła!

— Żądaj czego chcesz, — rzekł Skrzetuski — niczego ci nie odmówię, ale to nie może być. Wejdź w siebie, zapytaj ojców, jeśli nie grzeszniej będzie dotrzymać takiej obietnicy, niżeli jej poniechać. Do boskiej karzącej ręki ty swojej nie przykładaj, aby się zaś i tobie nie dostało. Zawstydź się, Rzędzian! Ten człek i tak Boga o śmierć prosi, a przytem ranny i w łykach. Czemże mu chcesz być? katem? Będziesz-li związanego hańbił, albo rannego dobijał? zaliś Tatar, czy rezun kozacki? Pókim żyw, na to nie pozwolę, i nie wspominaj mi o tem.

W głosie pana Jana było tyle siły i woli, że pachołek odrazu stracił wszelką nadzieję, więc tylko rzekł płaczliwym głosem:

— Jak on zdrów, to on i dwom takim jak ja dałby rady, a jak chory, to mi się mścić nie przystoi — kiedyż ja mu za swoje zapłacę?

— Zemstę zostaw Bogu — rzekł Skrzetuski.

Pachołek usta otworzył, chciał jeszcze coś mówić, o coś się pytać, ale pan Jan odwrócił się i poszedł ku namiotom, przed którymi liczne zebrało się towarzystwo. W środku siedziała pani Witowska, a obok niej kniaziówna, naokół zaś rycerze. Przed nimi nieco pan Zagłoba, stojąc bez czapki, opowiadał tym, którzy byli tylko pod Zborowem, oblężenie Zbaraża. Słuchali go wszyscy, dech w piersiach tamując;

twarze mieniły się od wzruszenia, i ci, co tam nie byli, z żalem myśleli o tem, że nie byli. Pan Jan siadł koło kniaziówny i, wziąwszy jej rękę, do ust przycisnął, a potem wsparli się o siebie ramionami i siedzieli cicho. Słońce schodziło już z nieba, i zwolna czynił się wieczór. Skrzetuski zasłuchał się także, jakby czegoś nowego dla siebie słuchając. Pan Zagłoba obcierał czuprynę i głos jego rozbrzmiewał coraz silniej... Rycerzom świeża pamięć, lub imaginacya przywodziła przed oczy te krwawe dzieje: więc widzieli okop jakoby morzem otoczony i wściekłe szturmy; słyszeli wrzaski, i wycia, i huk armat i samopałów, widzieli kniazia w srebrnych blachach na okopie — wśród gradu kul... Potem nędzę, głód, owe noce czerwone, w których śmierć krążyła jak złowrogi wielki ptak nad okopem... wyjście pana Podbipięty, Skrzetuskiego... I słuchali wszyscy, czasem oczy wznosząc do góry, lub za głownie szabel chwytając, a pan Zagłoba tak kończył:

— Jedna to teraz mogiła, jeden kopiec olbrzymi, a że pod nim nie leży sława Rzeczypospolitej, i kwiat rycerstwa, i książę wojewoda, i ja, i my wszyscy, których lwami zbaraskimi sami kozacy nazywają — on to sprawił!

To rzekłszy, pan Zagłoba wskazał Skrzetuskiego.

— Jako żywo, tak jest! — wykrzyknęli Marek Sobieski i pan Przyjemski.

— Sława mu! cześć, dziękowanie! — poczęły wołać silne głosy rycerskie. — Vivat Skrzetuski! Vivat młoda para! Niech żyje bohater! — wołano coraz silniej.

Uniesienie ogarnęło wszystkich zebranych. Jedni biegli po kielichy, drudzy rzucali czapki w górę. Żołnierze poczęli dźwięczeć szablami — i wkrótce uczynił się jeden ogólny gromki okrzyk:

— Sława! sława! niech żyje! niech żyje!

Skrzetuski, jak prawdziwy rycerz chrześcijański, spuścił pokornie głowę — ale kniaziówna wstała, strząsnęła warkocze, rumieńce biły jej na twarz, a z oczu strzelała duma, bo ten rycerz miał być jej mężem, a sława męża pada na żonę, jak światło słońca na ziemię.

Późną już nocą rozjechali się zgromadzeni we dwie strony. Państwo Witowscy, pan Przyjemski i starosta krasnostawski pociągnęli z pułkami w stronę Toporowa, a Skrzetuski z kniaziówną i chorągwią Wołodyjowskiego do Tarnopola. Noc była tak pogodna, jak i dzień. Roje gwiazd świeciły na niebie. Księżyc wzeszedł i oświecił pokryte pajęczyną pola. Żołnierze po-

częli śpiewać; potem wstały białe opary z łąk i uczyniły z okolicy jakby jedno olbrzymie jezioro, oświecone blaskiem księżyca.

W taką to noc wychodził niegdyś Skrzetuski ze Zbaraża i w taką noc teraz czuł bicie serca Kurcewiczówny przy swojem.

EPILOG.

Lecz tragedya dziejowa nie zakończyła się ani pod Zbarażem, ani pod Zborowem, a nawet nie zakończył się tam jej akt pierwszy. We dwa lata później zerwała się znów cała kozaczyzna do boju z Rzecząpospolitą. Wstał Chmielnicki, silniejszy niż kiedykolwiek, a z nim szedł chan wszystkich ord — i ciż sami wodze, którzy już pod Zbarażem stawali: więc dziki Tuhaj-bej, i Urum-murza, i Artimgirej, i Nuradyn, i Gałga, i Amurat, i Subagazi. Słupy pożarów, jęki ludzkie szły przed nimi, tysiące wojowników pokrywały pola, napełniały lasy, pół miliona ust wydawało okrzyki wojenne — i zdawało się ludziom, że przyszedł ostatni kres na Rzeczpospolitą.

Lecz i Rzeczpospolita przebudziła się z odrętwienia, zerwała z dawną polityką kanclerza, z układami, z paktowaniem. Już było wiadomo, że tylko miecz dłuższy spokój zapewnić może,

więc gdy król ruszył przeciw nieprzyjacielskiej powodzi, szło z nim sto tysięcy wojska i szlachty, prócz mrowia ciurów i czeladzi.

Nikogo nie brakło z osób, wchodzących do niniejszego opowiadania. Był książę Jeremi Wiśniowiecki z całą swą dywizyą, w której po staremu służyli Skrzetuski i Wołodyjowski z wolentarzem Zagłobą; byli obaj hetmani Potocki i Kalinowski, czasu tego już z niewoli tatarskiej wykupieni. Był i pułkownik Stefan Czarniecki, późniejszy szwedzkiego króla Karola Gustawa pogromca, i pan Przyjemski, który wszystką armatą dowodził, i generał Ubald, i pan Arciszewski, i pan starosta krasnostawski, i brat jego starosta jaworowski, późniejszy król Jan III, i Ludwik Weycher wojewoda pomorski, i Jakób wojewoda malborski, i chorąży Koniecpolski, i książę Dominik Zasławski, i biskupi, i dygnitarze koronni i senatorowie — cała Rzeczpospolita, z naczelnym swym wodzem królem.

Na polach Beresteczka spotkały się wreszcie owe krociowe zastępy i tam to stoczono jedną z największych bitew w dziejach świata, której odgłosem brzmiała cała ówczesna Europa.

Trwała ona trzy dni. Przez pierwsze dwa ważyły się losy — w trzecim przyszło do walnego boju, który przeważył zwycięstwo. Rozpoczął ów bój książę Jeremi.

I widziano go na czele całego lewego skrzy-

dła, jak bez zbroi, z gołą głową, gnał jak wicher po polu na olbrzymie zastępy, złożone ze wszystkich konnych mołojców zaporoskich, ze wszystkich Tatarów krymskich, nohajskich, białogrodzkich, z Turków sylistryjskich i rumelskich, z Urumbałów, Janczarów, Serbów, Wołochów, Peryjerów i innych dzikich wojowników, zebranych od Uralu, morza Kaspijskiego i błot Meockich, aż do Dunaju.

I jak rzeka ginie z oczu w spienionych nurtach morskich, tak zginęły z oczu pułki książęce w tem morzu nieprzyjaciół. Chmura kurzawy wstała na równinie, niby rozszalała trąba powietrzna, i zakryła walczących...

Patrzało na ten nadludzki bój całe wojsko — i król, a podkanclerzy Leszczyński wzniósł drzewo Krzyża Świętego i błogosławił niem ginących.

Tymczasem, z drugiego boku zachodził wojsku królewskiemu cały tabór kozacki, liczący dwieście tysięcy ludzi, najeżony armatami, ziejący ogniem, nakształt smoka, wysuwającego powoli z lasów olbrzymie swe kłęby.

Lecz nim wysunął ich ogrom, z owej kurzawy, w której zginęły pułki Wiśniowieckiego, poczęli wypadać jeźdźcy, potem ich dziesiątki, potem setki, potem tysiące, potem dziesiątki tysięcy — i pędzić ku wzgórzom, na których stał chan, otoczony przez wyborowe swe gwardye.

Dzikie tłumy uciekały w szalonym popłochu i bezładzie — pulki polskie gnały za nimi. Tysiące mołojców i Tatarów zasłały pobojowisko, a między nimi leżał rozciągnięty koncerzem na dwoje zakamieniały wróg Lachów, a wierny kozaków sojusznik, dziki i mężny Tuhaj-bej.

Straszliwy książę tryumfował.

Lecz król spostrzegł okiem wodza tryumf książęcy i postanowił zgnieść ordy, nim tabor kozacki nadciągnie.

Ruszyły wszystkie wojska, huknęły wszystkie działa, roznosząc śmierć i zamieszanie; wnet brat chanowy, wspaniały Amurat, padł uderzony kulą w piersi. Zawrzały boleśnie ordy. Przerażony i ranny z samego początku bitwy chan spojrzał na pole. Zdala, wśród dział i ognia, szedł pan Przyjemski i sam król z rajtaryą, a z boków huczała ziemia pod ciężarem biegnącej do boju jazdy.

Wówczas zadrżał Islam-Girej — i nie dotrzymał pola, i pierzchnął, a za nim pierzchnęły bezładnie wszystkie ordy, i Wołosza, i urumbałowie, i konni mołojcy zaporoscy, i Turcy sylistryjscy i poturczeńcy, jak chmura pierzcha przed wichrem.

Uciekających dopędził zrozpaczony Chmielnicki, chcąc błagać chana, aby do bitwy powrócił — lecz chan ryknął na jego widok

z gniewu, wreszcie kazał go Tatarom uchwycić, przywiązać do konia i porwał z sobą.

Teraz pozostał tylko tabór kozacki.

Dowódca taboru, pułkownik kropiweński, Dziedziała, nie wiedział, co się stało z Chmielnickim, lecz widząc klęskę i haniebną ucieczkę wszystkich ord — wstrzymał pochód i, cofnąwszy się z taborem, usadowił się w bagnistych widłach Pleszowy.

Tymczasem burza zerwała się na niebie, i lunęły niezmierne potoki deszczu. «Bóg ziemię obmywał po sprawiedliwej bitwie».

Dżdże trwały kilka dni, i kilka dni odpoczywały królewskie wojska, zmęczone poprzedniemi bitwami; przez ten czas tabór opasywał się wałami i zmienił się w olbrzymią ruchomą fortecę.

Z powrotem pogody rozpoczęło się oblężenie — najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek w życiu widziano.

Sto tysięcy królewskiego wojska obległo dwukroćstotysięczną armię Dziedziały.

Królowi brakło armat, żywności, amunicyi — Dziedziała miał nieprzebrane zasoby prochów, wszelkich zapasów, a oprócz tego siedmdziesiąt cięższych i lżejszych armat.

Ale na czele królewskich wojsk stał król — kozakom brakło Chmielnickiego.

Wojska królewskie były ożywione świeżem zwycięstwem — kozacy zwątpili o sobie.

Minęło kilka dni — nadzieja powrotu Chmielnickiego i chana znikła.

Wówczas rozpoczęły się rokowania.

Przyszli do króla pułkownicy kozaccy i bili mu czołem, prosząc zmiłowania, obchodzili namioty senatorów, czepiali się sukni, przyrzekając choćby z pod ziemi wydostać Chmielnickiego i oddać go królowi.

Serce Jana Kazimierza nie było obce litości — chciał puścić do domów czerń i wojsko, byle wydano mu wszystką starszyznę, którą postanowił zatrzymać aż do chwili wydania Chmielnickiego.

Lecz taki właśnie układ nie był po myśli starszyznie, która za ogrom swych występków nie spodziewała się przebaczenia.

Więc w czasie układów trwały bitwy, rozpaczliwe wycieczki, i codziennie lała się obficie krew polska i kozacka.

Mołojcy w dzień walczyli z odwagą i zaciekłością rozpaczy, lecz nocą chmary ich całe wieszały się pod obozem królewskim, wyjąc ponuro o miłosierdzie.

Dziedziała skłaniał się do układów i sam chciał ponieść w ofierze głowę swą królowi, byle wykupić wojsko i lud.

Jednakże rozruchy powstały w kozackim

obozie. Jedni chcieli się poddawać, inni bronić do śmierci, wszyscy zaś przemyśliwali, jakby się wymknąć z taboru.

Ale najodważniejszym wydawało się to niepodobieństwem.

Tabór był otoczony widłami rzeki i olbrzymiemi bagnami. Bronić się w nim można było całe lata, ale do odwrotu jedna tylko droga stała otworem — przez wojska królewskie.

O tej drodze nikt nie myślał w taborze.

Układy, przerywane bitwami, wlokły się leniwo; rozruchy w tłumach kozackich stawały się coraz częstsze. W jednym z takich rozruchów zrzucono z dowództwa Dziedziałę i obrano nowego wodza.

Nazwisko jego wlało nową odwagę w upadłe dusze kozacze — i odbiwszy się gromkiem echem w obozie królewskim, rozbudziło w kilku sercach rycerskich zatarte wspomnienia przebytych bólów i nieszczęść.

Nowy wódz zwał się Bohun.

Już poprzednio wysokie on zajmował stanowisko między kozactwem w radzie i boju. Głos powszechny ukazywał go, jako następcę Chmielnickiego.

Bohun pierwszy z kozackich pułkowników stanął wraz z Tatarami pod Beresteczkiem na czele pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Brał udział w trzechdniowej bitwie jeźdźców — i pogromiony

wraz z chanem i ordami przez Jeremiego, zdołał wyprowadzić z pogromu większą część swych sił i znaleźć schronienie w taborze. Teraz, po Dziedziale, partya nieprzejednanych oddała mu naczelne dowództwo, ufając, że on jeden potrafi uratować tabor i wojsko.

I istotnie młody wódz ani chciał słyszeć o układach — pragnął bitwy i krwi przelewu, choćby w tej krwi sam miał utonąć.

Lecz wkrótce przekonał się, że z tymi zastępami nie można było już myśleć o przejściu zbrojną ręką po trupach królewskiego wojska — więc chwycił się innego sposobu.

Historya zachowała pamięć tych bezprzykładnych usiłowań, które współczesnym wydawały się godnemi olbrzyma, które mogły były ocalić wojsko i czerń.

Bohun postanowił przejść przez bezdenne bagna Pleszowej, a raczej zbudować przez te bagna taki most, by po nim mogli przejść wszyscy oblężeni.

Więc lasy całe poczęły padać pod siekierami kozaków i tonąć w błotach; rzucano w nie wozy, namioty, kożuchy, świty — i most przedłużał się z dniem każdym.

Zdawało się, że dla tego wodza niemasz nic niepodobnego.

Król zwłóczył szturm, nie chcąc przelewu krwi, lecz widząc te olbrzymie roboty, poznał,

iż niema innej rady i kazał otrąbić w wojsku, by się na wieczór gotowano do ostatecznej rozprawy.

Nikt nie wiedział o tym zamiarze w taborze kozackim — most przedłużał się jeszcze całą noc poprzednią, rankiem zaś Bohun wyjechał na czele starszyzny obejrzeć roboty.

Było to w poniedziałek, siódmego lipca 1651 roku. Ranek dnia tego wstał blady, jakby przerażony, zorze na wschodzie były krwawe, słońce wzeszło rude, chorobliwe, krwawy jakiś odblask oświecał wody i lasy.

Z obozu polskiego wyganiano konie na paszę; tabór kozacki szumiał głosami rozbudzonych ludzi. Porozpalano ogniska i gotowano strawę poranną. Wszyscy widzieli odjazd Bohuna, jego orszaku i idącej za nim jazdy, z pomocą której wódz chciał spędzić wojewodę bracławskiego, zajmującego tyły taboru i psującego z armat roboty kozackie.

Czerń patrzała na odjazd spokojnie, a nawet z otuchą w sercu. Tysiące oczu odprowadzały młodego wojownika i tysiące ust mówiły za nim:

— Boże cię błogosław, sokole!

Wódz, orszak i jazda, oddalając się zwolna od taboru, doszli do brzegu lasu, mignęli jeszcze raz w porannem słońcu i poczęli się zasuwać za haszcze.

Wtem jakiś straszny, przeraźliwy głos zakrzyknął, a raczej zawył przy bramie taboru:

— Lude, spasajtes!

— Starszyzna ucieka! — krzyknęło naraz kilkanaście głosów.

— Starszyzna ucieka! — powtórzyły setki i tysiące ludzi. — Szmer poszedł przez tłumy, jak kiedy wicher uderzy w bór — i naraz krzyk okropny, nieludzki, wyrwał się z dwukroćstutysięcznej gardzieli. «Spasajtes! spasajtes! Lachy! Starszyzna ucieka!» Masy ludzkie wezbrały naraz, nakształt rozszalałego potoku. Zdeptano ogniska, poprzewracano wozy, namioty, rozerwano ostrokoły; ściskano się, duszono. Straszliwa panika poraziła obłędem wszystkie umysły. Góry ciał zatamowały wnet drogę — więc deptano po trupach wśród ryku, zgiełku, wrzasku, jęków. Tłumy wylały się z majdanu, wpadały na pomost, spychały się w bagna, tonący chwytali się w konwulsyjne uściski i, wyjąc do nieba o miłosierdzie, zapadali się w chłodne, ruchome błota. Na pomoście wszczęła się bitwa i rzeź o miejsca. Wody Pleszowej zapełniły się ciałami. Nemezis dziejowa spłacała straszliwie za Piławce Beresteczkiem.

Wrzaski okropne doszły do uszu młodego wodza, i wnet zrozumiał, co się stało. Lecz napróżno zawrócił w tej chwili do taboru, napróżno leciał naprzeciw tłumom ze wzniesionemi do

nieba rękoma. Głos jego zginął w ryku tysięców — straszliwa rzeka uciekających porwała go wraz z koniem, orszakiem i całą jazdą — i niosła na zatracenie.

Wojska koronne zdumiały się na widok tego ruchu, który zrazu wielu za jakiś atak rozpaczliwy poczytało — lecz oczom trudno było nie wierzyć.

W kilka chwil później, gdy zdziwienie przeszło, wszystkie chorągwie, nie czekając nawet rozkazów, ruszyły na nieprzyjaciela, a w przodzie szła, jak wicher, chorągiew dragońska, na której czele leciał mały pułkownik z szablą nad głową.

I nastał dzień gniewu, klęski i sądu... Kto nie był zduszon, lub się nie utopił, szedł pod miecz. Spłynęły krwią rzeki tak, że nie rozpoznałeś, czy krew, czy woda w nich płynie. Obłąkane tłumy jeszcze bezładniej zaczęły się dusić, i spychać w wodę, i topić... Mord napełnił te okropne lasy i zapanował w nich tem straszliwiej, że potężne watahy poczęły się bronić ze wściekłością. Toczyły się bitwy na błotach, w kniejach, na polu. Wojewoda bracławski przeciął odwrót uciekającym. Próżno król rozkazywał powstrzymywać żołnierzy. Litość gasła — i rzeź trwała aż do nocy, rzeź taka, jakiej najstarsi nie pamiętali wojownicy i na której wspomnienie włosy stawały im później na głowach.



Góry ciał zatamowały wnet drogę.

Gdy wreszcie ciemności okryły ziemię, sami zwycięzcy byli przerażeni swem dziełem. Nie śpiewano *Te Deum* i nie łzy radości, lecz łzy żalu i smutku płynęły z dostojnych oczu królewskich.

Tak rozegrał się akt pierwszy dramatu, którego autorem był Chmielnicki.

Lecz Bohun nie złożył wraz z innymi głowy w tym dniu straszliwym. Jedni mówili, że spostrzegłszy klęskę, pierwszy ratował się ucieczką; inni, że ocalił go pewien rycerz znajomy. Prawdy nikt nie mógł dociec.

To tylko pewna, że w następnych wojnach częstokroć wypływało jego nazwisko między nazwiskami najsłynniejszych wodzów kozackich. Postrzał z jakiejś mściwej ręki dosięgnął go w kilka lat później, lecz i wówczas nie przyszedł na niego kres ostatni. Po śmierci księcia Wiśniowieckiego, który z trudów wojennych umarł, gdy państwo łubniańskie odpadło od ciała Rzeczypospolitej, Bohun zawładnął większą częścią jego obszarów. Mówiono, że w końcu i Chmielnickiego nie chciał nad sobą uznawać. Sam Chmielnicki złamany, przeklinany przez własny lud, szukał protekcyi postronnych, dumny zaś Bohun odrzucał wszelką opiekę i gotów był szablą swobody swej kozaczej bronić.

Mówiono także, że uśmiech nie postał nigdy na ustach tego szczególnego człowieka. Żył nie

w Łubniach, ale w wiosce, którą z popiołów odbudował i która zwała się Rozłogi. Tam też podobno umarł.

Wojny domowe przeżyły go i ciągnęły się jeszcze długo. Przyszła potem zaraza i Szwedzi. Tatarzy stale prawie gościli na Ukrainie, zagarniając tłumy ludu w niewolę. Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą.

KONIEC TOMU CZTERDZIESTEGO SZÓSTEGO.

